

4687/25

O



PROSPEKT.


W umysłowym rozwoju społeczeństwa naszego zaznaczył się w ostatnich czasach silnie zwrot do literatury pięknej i wszystkich łączących się z nią objawów życia duchowego. Obok dążności do podniesienia materyalnego dobrobytu, objawia się równocześnie potrzeba szlachetniejszego pierwiastku, któryby ożywiał, umacniał i podnosił ducha, dostarczając mu podstaw do jak najszerzego umysłowego rozwoju. Literaturze pięknej, którą zdawna uznano jako zwierciadło życia ludzkiego w tym pochodzie do światła, jedno z najważniejszych zadań przypadło w udziale.

W licznym poczcie najróżnorodniejszych wydawnictw i publikacyj peryodycznych naszych, oddawna czuć się dawał brak popularnego wydawnictwa książkowego, któreby wzięło sobie za zadanie odzwierciadlać najgłówniejsze prądy w dziedzinie wszechświatowej literatury pięknej, któreby trzymało dłoń na tętnie współczesnego pulsu europejskiego i zapoznawało czytającą publiczność naszą z najnowszymi objawami zarówno swojskiego jak i zagranicznego piśmiennictwa, a przytem było dostępnem dla najszerzych warstw społeczeństwa.

Brak ten usunie, powołana obecnie przez nas do życia, na wzór licznych tego rodzaju wydawnictw, olbrzymiem powodzeniem zagrańcą się cieszących:

„Nowa Biblioteka Rodzinna“,

która wychodzi od dnia 1 Lipca 1890 r. poczynawszy, w tomach miesięcznych 10 arkuszowych, oprawnych w jasne brązowe płótno z wyciskami, po cenie

 **50 centów za tom oprawiony** 

i zawierać będzie obfitą treść, złożoną z oryginalnych i tłumaczonych utworów z dziedziny powieści, nowelli, poezyi, podróży, oraz literatury naukowej.

Tą drogą, po niepraktykowanie niskiej cenie, która nieomal że pokrywa zaledwo kosztu samej oprawy, każdy z naszych stałych przedplacicieli będzie mógł przyjść po pewnym czasie do posiadania wyborowej biblioteczki domowej.

Do całej seryi tomów, jakie kolejno najregularniej w pierwszych dniach każdego miesiąca ukazywać się będą, przygotowaliśmy obfity i doborowy materiał, złożony z utworów zarówno polskich jak i pierwszorzędných zagranicznych pisarzy. Czytelnikom naszym zamierzamy podawać w doborowych tłumaczeniach najnowsze i najwybitniejsze utwory literatury powieściowej zagranicznej, które w naszej „Bibliotece“ ukazywać się będą równocześnie z oryginałami, a obok powieści, także utwory poetyczne, opisy podróży i popularne prace, dotyczące najnowszych i najciekawszych objawów w dziedzinie wiedzy.

Oddając Publiczności polskiej w ręce powyższe wydawnictwo, przystępujemy do dzieła z otuchą i wiarą, że ogół społeczeństwa poprze nasze usiłowania. Pragniemy udowodnić, że mylnym jest dotychczasowy pogląd, iż czytelnictwo nie jest u nas do tego stopnia rozbudzone, aby wydawnictwo tego rodzaju, jak nasze, przy tak bajecznie niskiej cenie utrzymać się mogło. Obecny spekulanci, niemieccy księgarze wiedzą o tem oddawna i dlatego w ostatnich latach usiłują zasypać kraj nasz tuzinkowemi bez wyboru i wartości utworami, jak to czyni obecnie księgarz wiedeński p. Bondy, rozpowszechniający po całej Galicyi przez licznych niemieckich kolporterów swą „Bibliotekę rodzinną.“

Jeżeli w Niemczech wydawnictwa podobne liczą po kilkadziesiąt tysięcy abonentów, pragniemy wierzyć, że u nas tyle ich przynajmniej zebrać potrafimy, by wydawnictwo utrzymać się i rozwijać nadal mogło!

Dotychczas wyszło tomów trzy
i zawierają treść następującą:

Tom I. „Sprzedaję las.“ Nowela *A. Wilczyńskiego*. — „Teresa Manfredi.“ Nowela z czeskiego *J. Zeyera*, przelożył *Miriam*. — „Uroczą“ i „Śmierć Balzaka“ przez *Arsena Housaye*. — „Pod gilotyną“ *J. Turgeniewa*.

Tom II. „Legenda żeglarska“ *II. Sienkiewicza*. — „Wiosna“ *Sewera*. — „Portret“ *Meyé'a*. — „Dnie głodu“ *Jeża T. T.* — Szkice z wieku XXI *Bellamy'ego*.



Tom III. Nowele huculskie *Juliusza Turczyńskiego*:
1. Trofym Olenyn. 2. Taras z Worochty.

Tom IV zawierać będzie: „Na ruinach.“ Powieść współczesna przez *Zygmunta Sarneckiego*.

Warunki prenumeraty:

„Nowa biblioteka rodzinna“ ukazywać się będzie w tomach miesięcznych 10-cio arkuszowych, **pięknie w jasno-brązowe płótno z wyciskami oprawnych.**

Każdy tom nabywać można oddzielnie po cenie

 **50 centów (45 kop. 90 fen.).** 

Dla wygody odbiorców, ogłaszamy również **przedpłatę na całą pierwszą seryę „Nowej biblioteki rodzinnej“,** to jest na 6 tomów które ukażą się do końca roku bieżącego.

Przedpłata na całą seryę w kraju wynosi **3 złr.**

w Królestwie Polskiem . . **2 rub. 70 kop.**

w Księstwie Poznańskiem **5 marek 40 fen.**

Pojedyncze tomy nabywać i przedpłatę składać można **we wszystkich księgarniach w kraju;** w Krakowie najdogodniej składać przedpłatę

w Księgarni J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna
w Rynku głównym.

NOWA BIBLIOTEKA RODZINNA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOMIK III.

(E2)

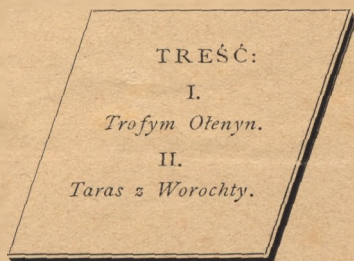


272

NOWA
BIBLIOTEKA RODZINNA.

JULIUSZ TURCZYŃSKI.

NOWELLE HUCULSKIE.



W KRAKOWIE,
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO & K. J. HEUMANNA.
1890.

LP 14c

WYDAWCA A. KACZURBA.

406029

T

D-75/4687
28.4. [5.]



W KRAKOWIE, W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

TROFYM OŁENYN.

(Z życia ludu huculskiego po nad Czeremoszem).



I.

Krzyk i tartas był we wsi — i zawodzenie kobiet. Zewsząd zbiegali się ludzie przestraszeni; chata jedna — chata biednej wdowy była w płomieniach.

Ludzie stali z załamaniem rękoma. Tymczasem zaś z jam okien, z sieni ziejącej, by paszcza smocza, wydobywał się dym czarny, zgęszczony, kłębiąc się w górę. Chłopy stali w niemej nieporadności, kobiety lamentowały w niebogłosey.

Zrozpaczoną zaś kobietę wstrzymywały litościwsze sąsiadki, żeby nie rwała się napowrót do chaty, gdzie w sieni pozostawiła uwiązaną krowinę swoją, jedyną drobnej jej dziatwy karmicielkę.

Kobieta była w rozpaczey.

Żaden ze starszych chłopów iść tam nie chciał, bojąc się, iżby belek który nie upadł zwęglony, lub człowieka nie zadławił.

Kobiecina, słysząc ryczącą rozpaczliwie krówkę, wyrywała się z rąk kobiet ku chacie swojej, wołając z błaganiem, by kto się zmiłował i biegł

ratować jedyny jej jeszcze dobytek. Dzieci wrzeszczały w niebogłosy.

Naraz niedorostek jeden, wyrwawszy się z pośród innych, a poglądawszy na starszych i silniejszych, co stali, jakby niemi, zrzucił czempredziej z siebie sierak, kazał zlać się cały wodą — i tak zmoczony wskoczył śmiało w gorejącą otchłań, niknąc wśród kłębow czarnej dymu.

— Ho! ho! — zewsząd wołano, przepadnie już Ołenyn.

— *Durna szcze hołowa!... Ta ot!... Ta naj jemu...*

Niektórzy mieli minę, jakby żalowali parobczaka, inni zaś obojętnie jeno czekali, czyli on ztamtąd wyjdzie. Ale złośliwie patrzył na to stary Kuryło, odezawszy się z szyderstwem:

— *Ta naj... ta, kto go będzie żalował — tego znajdy?...*

Najbardziej nawet parobczakowi niechętni, spojrzeli teraz krzywo na Kuryłę, który był bratem zmarłej matki tamtego.

Krokwie zaczęły już się usuwać — łaty zaś na nich, pękając, roziskrzonym żarem czerwonym padały — ogień trzaskał, jak z bicia.

Wtem, z otchłani tej ognia, wydobywał się człowiek, czarny od czadu i kopcia, z osmaloną głową, wołając gwałtownie pomocy. Mimo to nie puszczał z rąk ciągniętego za rogi bydlęcia, które mu się z straszliwym rykiem wyrывało.

Gdy ujrzano młodego Trofyma w tej rozpaczli-

wej walce, przyskoczyli doń inni — i wyciągnęli za rogi krowinę, do której kobieta przybiegła, płacząc łzami radości i tuląc, nito *donię* swoją.

Trofym zaś odskoczył na bok, chwiejąc się na nogach na obie strony, jak gdyby pijany.

Z ciężącą jakoby ołowiem głową, z rozwartemi usty — popieczony tu i ówdzie, z bólu omdlewający, chwiał się chłopak... Bo się o niego krokiew spadająca mocno otarła, a ranę okrwawioną zapieklł zaraz ogień. Czadem cały odurzony, miał minę sennego: ziewał, otwierając szeroko usta, a głowa mu się raz wraz zawracała, na której włos jego, przedtem lśniący, teraz się kędzierzawił w drobne zwoje, osmalony, cuchnący spalenizną.

Mimo to, gdy przyszedł do siebie, spojrzał zadowolony, że spełnił przecież obowiązek człowieka.

Byli, co chwalili odwagę Trofyma, lecz Kuryło zaraz się odezwał:

— *Ouwa!* ta, co miał do stracenia?... Może nań czekał grunt jaki... albo może stado owiec?... On to zrobił dla nagrody.

A Trofym spojrzał nań tylko — i zabolalo go w sercu. Westchnął.

Trofym był sierotą. Ojca nie znał nigdy, nawet o nim nigdy nie słyszał; matce zaś wcześniej się zmarło.

Byli, co pamiętali, gdy się Trofym rodził. Nie w chacie przyszedł na świat, ciepłej — czysto bielonej, ni na miękkim łożu, wyścielonem. Przy-

szedł na świat na skoszonej łące — wśród skwaru sierpniowego, przy gromadzeniu siana.

Miasto kolebki, położono go wtedy na ziemi, podrzuciwszy nieco siana. Kto tam miał dbać wówczas o niego?... Przybył nie wołany, na hańbę matce, na nieszczęście tylko siołu.

Nieszczęsna leżała, stękając, na szczypcie porzuconego jej, mokrego jeszcze siana. Miała oblicze zbolełe i przestraszone — czuła bowiem swoją winę. A niemowlę, choć krzyczało, gdy je wiatr chwilami owiał ostrzejszy, nikt jednak na nie nie zważał; musiano przecież spieszyć się ze zbiorem paszy na zimę, jedyne prawie bogactwa hucułów, nie mających zboża, ni łąnów szerokich. A tu jeden jeszcze zrodził się zjadacz chleba bożego!

— O! niedoczekanie jemu! — mawiali ludzie. Niechaj go teraz sama karmi!

Mały Trofym wychowywał się, nie wiedzieć jakim sposobem — nie chlebem karmiony, bo tego tam nigdy nie było. Chodził nago, bo go nikt nie przyodział. Bosy z rozwianym na wiatr włosem, w podartej koszulinie, z otwartą piersią, chodził po śniegu, trzęsąc się z zimna i głodu. Nareszcie się przyzwyczaił, że mu zimno już nie było zimnem, ani głód głodem.

Matce się wkrótce zmarło... bo czyliż mogło być inaczej?... Kto nie ma chaty, ani dobytku — temu żyć nie ma, jak i po co... Borykała się, jak mogła z dolą swoją twardą, ale ta ją nareszcie przemogła i złożyła do ziemi. Na mogiłce nie dano

żadnego krzyżyka, bo nacóż tanr znaku, gdzie niepotrzebna żadna pamięć: każdy może o złozonej już w ziemi zapomnieć. Na drugi też dzień zaraz zapomniano — jakby jej nigdy nie było na świecie.

Mały Trofym sam jeden pozostał. Z początku zawodził, wrzeszcząc rozgłośnie — nie chciał nic brać do ust, wołając raz po raz matki: lecz na to nikt nie odpowiadał, gdy na płacze i lamenty jego nie zwracano żadnej uwagi, musiał połknąć łyzy i strawić ból w sobie. A gdy głód zaczął naprawdę dokuczać, gdy chwyciła w swe ramiona nuda samotności i opuszczenia: powstał mimowolnie i szedł między innych.

Jakim żył tu sposobem, i jakim prawem przedzierał się przez dni, jakby nie swoje — nie obchodziło to nikogo; dość, że żył jakoś, nie kradnąc, ani rozbijając, choć drudzy przepowiadali, że to będzie tylko złodziej albo opryszek — na wstyd a nieszczęście siołu całemu.

O tém najbardziej przekonywał wszystkich rudy Kuryło, gdy wskazywał na chłopca, który okiem swoim zapadłem jakoś ponuro patrzył na świat i tylko zamknięty sam w sobie — we własnych dumach — koso spoglądał na innych.

Kuryło, będąc bratem Ołeny, pierwszy na nią rzucił kamieniem, iż ona tyle hańby im przyniosła; na małego zaś Trofyma ani patrzeć nie chciał — klnąć tylko dziecięciu, że rosło drugim na niedolę.

Do tego jeszcze miał później człowiek ten

złość nie małą do niedorostka, gdy bywało spotykali się obaj na zrębach lasowych. Trofym choć jeszcze nie wiele miał siły, mimo to cały zadyszany, piersią ciężko robiący, czerwony wysileniem ponad wiek swój, uderzał w drzewo siekierą, by móżdż starszym dorównać robotnikom, co nań tylko krzywo pozierali, a szczególnie Kuryło, który bardziej będąc leniwym, innych jeszcze do tego podjudzał na chłopca, mawiając, że ten znajda drugim zarobek tylko odbiera, zwłaszcza gdy parobczak, co tylko wziął na siebie, to wykonywał z upartą jakąś wytrwałością, nie jedząc, nie pijąc, ani do-sypiając.

II.

Ponieważ Trofym mało się zabawiał z innymi parobczakami, gdy ci nie uważali go za swojego, chodząc też często samopas, dnia jednego zaszedłszy w las gęściejszy, w jakieś jarugi dzikie, nie wiedział już na prawdę, gdzie się znajduje... Wiedział tylko, że wychodził na jakieś zbocze kamieniste, gdzieniegdzie złomami głazów najeżone. Szedł wprowadzie jakąś ścieżyną, lecz nie wiedział, gdzie się znajduje; ścieżka wijąca, się dziwnie wśród gęstwiny lasowej, gubiła się w gąszczu paproci i olbrzymich łopachów.

Mrok już wieczorny zapadał. Droga kręciła

się nad jakimś potoczkiem, który z hukiem i łoskotem z góry spadał po kamieniach...

Aż tu nagle nadszedł go z góry niespodzianie zwierz ogromny... Trofym, przeraziwszy się, stanął nie wiedząc, co z sobą zrobić, i nie zeszedł z drogi. *Mysio* zaś spojrzał zézem i *zamurkotiw* (zamruczał)... potem chwyciwszy chłopca za pierś łąpą swoją ciężką, na bok odrzucił, że ten aż w potok poleciał — potłuczony. Tak leżał czas niejaki, bez pamięci, nie wiedząc co się z nim działo.

Nareszcie podniósłszy zwolna głowę, uczuł chłód wody i mokrych domacał się kamieni. Woda potoku ściekała mu z włosów, gdyż na wznak leżał w korycie. Gdyby był upadł twarzą, byłaby mu woda oddech zatamowała: lecz tak, otrzeźwiła go tylko, że mógł powoli zupełną odzyskać przytomność.

Zaczął się też rozglądać, gdzie się znajduje i przypominać sobie, co się stało. Uczuł ból w boku, w nodze jednej, to drugiej; pokaleczony był, i krew ściekała z miejsc, tu i owdzie zranionych. Patrzył tak dokoła, nareszcie zwolna przypomniął sobie całą przygodę ze zwierzem..., i uczuł wstyd w sobie.

— *Toż to »toj staryj« tak mene oprawyw?* — pomruknął. *Jak druływ czołowikom, to aż w zwir poletiw?... Abo ja pes?*

I tu parobczaka rozgniewało, iż *mysio* nie uważał go nawet za żadnego zapaśnika, żeby mu choćby kość zechciał złamać, lub zedrzeć skórę

z głowy... lecz tak, po prostu, jakby rzecz jaką, z drogi na bok odrzucił człowieka — i poszedł sobie swoją drogą.

— *Abo ja pes... sobaka nezdarnyj... żeby win zo mnoju tak sia obijszow?*

Uczuł zatem mocno zadaną sobie od *mysia* zniewagę. Przemyśliwał teraz, jakby to się nad bestyą zemścić.

Wiedział, że odtąd będzie już wielkim nieprzyjacielem *niedźwiedziego narodu*. On musi rozpocząć teraz z nimi walkę na zabój.

Po niejakim czasie wylizał się z tego przypadku, ale odtąd jedynem jego było pragnieniem nauczyć się strzelać, by móżdż oddać za swoją krzywdę pięknem za nadobne. Marzeniem jego odtąd było największem, stanąć gdzie do pomocy jakiemu pobereźnikowi.

Kiedy tylko, bywało, usłyszał gdzie huk wystrzału, trząśł się jak w febrze... krew w nim rozbudzona grała, i czempředzej biegł, choć zdala przypatrzeć się temu.

Rudy Kuryło, spostrzegłszy to, zwracał uwagę innych, że ten parobczak będzie kiedyś zbójem, bo go jak wilka ciągnie do lasu.

— Mówcie, co chcecie, prawil, a taki on będzie opryskiem. Żali go nie ciągnie, gdy słyszy tylko gdzie strzelaninę jaką?

Po niejakim czasie udało się Trofymowi, że widział, jak jeden z pobereźników przy nim strzelbę nabijał, czemu się chłopak z pewnem przyglądał

nabożeństwem... a zaraz potem wypadł strzał do jastrzębia. Ptak zatrzepotał skrzydłami — i z wielkim szelestem, ważąc się, to wyżej, to niżej, bijąc z wysileniem skrzydłami, zapadł gdzieś w krzaki — lecz jeszcze raz za zbliżeniem się człowieka podleciał do góry — a potem już bliżej ziemi spuszczaając się, z ostatkiem sił — zapadł gdzieś wśród sępów, z kąd nie łatwo było go wydostać pobereźnikowi...

Tu Trofym przyskoczył z uśmiechem usługności, i zaraz wlażł w sam środek trzęsawiska... a wkrótce zabłocony po sam pas, obmazany czarną posoką, przyniósł uradowany trupa ptasiego.

Pobereźnik go pochwalił, bo mógł potem jastrzębia na żerdce rozkrzyżować, na postrach innym ptasim rabusiom, czatującym na drób domowy.

Trofym nareszcie nauczył się strzelać — i gdy pierwszy raz sam wystrzelił, był cały rozmarzony i czerwony z wielkiej uciechy.

Największem jego odtąd było marzeniem przyjść samemu do takiej *puszki*, jaką ma pobereźnik.

Chłopak zasypiał z tą myślą i budził się z nią. Nieraz mu się nawet śniło, że już doszedł do upragnionego skarbu, że trzymał w ręku narzędzie sobie tak drogie; wtedy śmiał się z radości; atoli gdy się ocknął, ledwo mu się na płacz nie zebrało, że to było tylko we śnie.

Pracował odtąd w dwójnasób, odmawiał sobie

kawałka *małaja*, kawałka placka owsianego, a składał, co mógł, z lichego swego zarobku.

Wreszcie sprzedał chłopcu któryś z pobereźników starą jakąś, dobrze już sznurkami poobwiązywaną strzelbinę. Mimo, że to była starowina, pokierszowana, o zardzewiałym zamku, często niedopisującym, i Trofym ciągle koło niej majstrować musiał, według instrukcyi lepszych strzelców — tak ją przecież miłował, że się z nią nawet we śnie nie rozłączał. Spał z nią wraz, by mu gdzie nie uciekła. I wyuczył się powoli na dobre już trafiać. Z początku zapuszczał się daleko, to z jednym, to z drugim z pobereźników, którzy byli mu radzi, bo chłopak przerywał samotność ich nużącą i był nader pomocnym przy ubiciu jakiego zwierza.

Kuryło wszakże nie spuszczał zeń uwagi swojej, i gdzie mógł, szkodził młodemu. Poduszczał nań gajowych. Mimo to, wkrótce nauczył się Trofym celniej trafiać od swych instruktorów — a szczególniejszą miał pasyę do rodu niedźwiedziego, którego ślady z kocim tropił uporem. Gdyby wówczas, przed laty jeszcze, więcej miał był *mysio* rozumu, a mniej buty niedźwiedziej, gdyby nie był z takim lekceważeniem odtrącił niedorostka człowieka: nie przyniosłby dziś tyle szkody braciom swoim niedźwiedziom, zbudziwszy takiego dla nich wroga.

Trofym stanął potem przy pobereźniku, zdala od rodzinnej wsi, w głębokich lasach nad górnym Czeremoszem.

— *Naj bude sława Hospodu Bohu, że czort wziaw toho znajdu z naszoho sęła! wołał wujko Kuryło i dodawał zaraz: Uwydite dobryi lude, że win tam perekine sia w opryszka na tych werchowynach...*

Trofym tymczasem, tropiąc za niedźwiedziami po jarach, wertepach, poznał głębie najdziksze borów nieschodzonych — i nie mało z ręki jego zwierza padło.

Choć nikt mu nie okazywał wdzięczności, jednak tępiąc niedźwiedzie i wilki, prawdziwym był dobrodziejem dla połonin, chroniąc liczne trzody bydła i owiec.

Ciągle tropił i ciągle się borykał, jakby chciał ziemię swoją od dzikich uwolnić potworów.

III.

Zajęty zawsze tropieniem zwierza, doszedł Trofym do lat, w których rówieśnicy jego mieli swoje krasawice; on zaś wobec dziewcząt był jakoś nieśmiały, zdawał się nawet obojętnem na nie poglądać okiem. One też tak samo nań patrzyły — obojętnie albo z nieufnością.

Trofym sam sobie wystarczał zupełnie, zadowolony życiem swoim po rozworach i wertepach lasowych, uganiając za zwierzem; — i sądził, że tak będzie wiecznie.

Ale nagle zaszła zmiana w życiu jego.

Był bowiem teraz w wieku, w którym musiał

się stawiać do poboru wojskowego. A że był chłop silny, dobrze zbudowany i do miary — wzięto go odrazu... i na znak, iż należy odtąd do pułku, obstrzyżono rekruta. Parobczak płakał, gdy ujrzał włos swój długi, gęsty, spadający pod ostrzem nożyc. Wiedział, że odtąd stracił z nim również i swobodę swoją: porzucić teraz musi swoje bory ukochane... Dziś pognają go wraz z innymi kędyś w obce strony, do miast dalekich, gdzie zamiast świerków zielonych, zamiast buków rozłożystych, białe tylko będą domy i bezdrzewne ulice.

Rudy Kuryło teraz dopiero zacierał ręce, gdy się dowiedział, że między innymi Trofym został zaasenterowany.

— *Sława Bohu naj bude!... Dajcie teper na służbu bożu, lude...*

Potem dodał jeszcze:

— *Zapałyt świczkę, żeby win tam pohybatw...*

Trofym jednak przyzwyczajony był od dzieciństwa przyjmować wszystko, co los nań nakładał, bez szemrania. Wiedział dobrze, że nie jest stworzony dla pragnień serca swego, lecz musi się poddawać wyższej woli.

Gdy nań włożono nowe ubranie — obcisłe, foremne, poznał, że z tem nowy nań włożono obowiązek. Przyjął to z poddaniem się doli swojej. Westchnął — ale nigdy nie opierał się losowi bezcelowem narzekaniem. Od dawnych lat przyuczył się znosić wszystkie przeciwności dni swoich, a zatem i dziś nie upadał pod nowym ciężarem.

Obowiązek nie był dla Trofyma igraszką. Że zaś był zręcznym przy mustrze, do tego celnym strzelcem i pilnym w wypełnianiu rozkazów, prędko się też wyuczył, czego potrzeba żołnierzowi.

Chwalono go za to, że brał się ochoczo do roboty i żadnej się nie lękał, nieraz też w koszarach za dwóch pracował. I dlaczegoż nie miał pracować, skoro mu Bóg dał większą, niżeli drugim, siłę? Trofym wyrósł wśród gór i lasów, oddychając zdrowem powietrzem, a chociaż wzrostu wcale nie był wysokiego, mimo to miał siłę za trzech. Kto go teraz widział, nie domyśliłby się, że chłop ten w dzieciństwie nie wychował się na tem, co tuczy i daje wzrost a siłę — lecz przeciwnie, co wprowadzie chroni człowieka od głodowej śmierci, ale się nie pozwala rozwijać kościom, ni mięśniom, jeno daje piersi wąskie, żółtą skórę i krótki oddech.

W wojsku przyzwyczał się do posłuchu i regularnego rozkładu czasu. Miasto dawnej swobody i kierowania się instynktem, musiał dziś trzymać się szablonu naznaczonego z góry, jednostajnego, jak wybijanie zegara, tego samego dziś, co i wczoraj, każdego dnia, o każdej godzinie. Godzina jedna i druga miała tu swoje przeznaczenie, od czego na włos nie wolno było odstąpić. Trofym dziś nie zasypiał, kiedy mu się oczy kleiły, jeno wówczas, gdy dano znak trąbieniem, że w tej chwili wszystko się kładzie do spoczynku. A choćby spał w najlepsze, na znak rannej trąby, żołnierz wstaje, drżący jeszcze ze snu i chłodu rannego, pomimo, że za

murami koszar wszystko w głębokim jeszcze śnie pogrążone.

Maszynerya niezmienna i szablon odmieniają tu naturę całą chłopą, przyzwyczajonego dawniej do trybu życia nieregularnego. Zmiana taka czyni z nich piony równe dla szeregów: wola pojedynczego i wszelka ustaje tu indywidualność. I Trofym uległ tej zmianie; nie potrzebował już teraz borykać się z losem, ani nateżać myśli swojej, czem się wyżywi dnia następnego, w co się przyodzieje: tu wszystko nań spływało, bez jego zabiegów, bez jego pomocy. Czynności mózgowe zaczęły się teraz odbywać według pewnej normy, podobnie jak u innych żołnierzy. Wszystko to daje inną już cechę, człowiekowi. Trofym stał się niepodobnym do dawnego z gór parobczaka.

Ponieważ zaś hart duszy, energia woli silniejszą była u niego, niżeli u innych, toż kiedy został żołnierzem, przymioty te innym już celom służyć musiały, ale z tą samą żelazną wytrwałością — z tem samem zaparciem się siebie samego.

Trofym też, stojąc dziś na warcie długimi godzinami, chociażby w mróz największy, uważał zawsze za niegodne siebie, żeby choć raz miał zadzwonić zębami... Niechaj wiatr ostry praży i siecze szczypiąc, niech burza ze śnieżną zawieją bije w oczy: on stoi jednako z nieodwróconem obliczem... W największy zaś skwar letni maszerując, gdy drudzy z trudnością dźwigali ciężar własny, Trofym szedł, wyprostowany, równym krokiem,

z okiem spokojnem, jako w pierwszej chwili, kiedy marsz się dopiero rozpoczynał. I gdyby mu kazano z cetnarowym ciężarem biedz w upał sierpniowy cwałem do góry, biegłby bez wypoczynku tak długo, póki by nie zawołano, żeby stanął... W ziemi pod lód skoczyłby i pozostałby w wodzie łamiącej kości, tak długo, póki by rozkazu nie odwołano.

Był to heroizm swojego rodzaju, wymagający nielada hartu duszy!

IV.

Nastąpiła wojna krótkotrwała, lecz straszna środkami swojemi i liczbą. Stanęły naprzeciw siebie dwie armie pierwszorzędne, najdzielniej wymusztrowane — zbrojne w działa o potwornej sile — straszliwe, mordercze, druzgocące granitowe mury — kładące na ziemię całe plutony dzielnie wyćwiczonych. Naprzeciw siebie stanęły szeregi, ciągnące się milami, straszne, ruchome, obracające się w liniach prostych — geometrycznych — dobrze wykreślonych — wystrzałami przerzedzające szeregi przeciwników.

Huk się rozchodził, jakby sto gromów naraz waliło — mgły się wznosiły gęste, czarne — przedzierane raz po raz błyskawicami krzyżujących się ognia.

Ciała padały druzgotane na miazgę — bez

śpiewów głoszących sławę walecznych — bez żalu pozostałych.

Mało tylko chwil przypadło walce pojedynkowej — podjazdowej; wtedy tylko, gdy jaka wedeta zetknęła się z wedetą, gdy podjazd kawaleryi został gdzie obskoczony, lub się wyprawiano tu i ówdzie dla dostania języka.

Po trudach ogromnych — po marszach bez wypoczynku — powrócili żołnierze do domów swoich — przerzedzeni w szeregach — pokaleczeni — zostawiwszy zdrowie młodości w tych dniach kilkunastu.

I Trofym wyszedł z walki morderczej, nie do życia już i dalszej żołnierki, lecz do szpitala — wliczony pomiędzy tych, którzy nie mają wrócić do szeregów, ale podążyć przy głuchym odgłosie bębnow i ponurym takcie maszerujących, tam, gdzie leżeć będą aż do trąby archanioła.

Atoli żywotność naszego chłopca musiała być większą, niżeli sztuka i wiedza lekarzy, gdy wbrew ich orzeczeniu wyszedł ze szpitala — i stanął znowu w szeregach na nowe rozkazy i nowe wysiłki.

V.

I tak przebył Trofym cały czas służby wojskowej w jednakowej zawsze wytrwałości — z jednakowem poczuciem obowiązków.

Kiedy odbył już swoje lata, a poznano się na

jego zdolnościach, na wierności niczem niezachwianej: przyjęto go do korpusu żandarmeryi. Będąc bowiem ciekawym, przy swojej usilnej chęci nauczył się był od jednego ze swoich kolegów czytać, czego koniecznie od żandarma wymagano.

Teraz rozpoczął nowe życie — nowe nań czekały już trudy.

Jako celny strzelec, a z młodości obeznany ze wszystkimi jarami i wertepami po nad Czere-moszem, jako nieustraszony niegdyś wychowaniec gór i okolic dzikich, zapadłych, został przeznaczony dla tych właśnie okolic, swoich rodzinnych.

Jak dawniej tropił zwierza leśnego po rozwo-rach zapadłych — po bezdrożach leśnych — nie-strudzony: tak samo dzisiaj tropić miał przekrada-jących się od strony węgierskiej przemytników ty-toniu, szajki koniokradów i inny gmin złodziejski. Nie łatwa to rzecz była, gdyż tu miał do czynie-nia z ludźmi, którzy nic nie mieli do stracenia, u których kulka w łeb trafić strażnika publicznego bezpieczeństwa, lub samemu na śmierć się narazić, rzecz była nie rzadka. Bywały nieraz wypadki, iż współtowarzysza w tych stronach zabłąkanego wśród zamieci śnieżnych wilki pożarły, pozostawiwszy tylko czako, którego zgryść niemogły, karabin i buty poszarpane, w których jeszcze tkwiły niedo-gryzione nogi żandarma. Częściej jeszcze gorszy i sprytniejszy od zwierza leśnego, zaczynał się czło-wiek na strażników bezpieczeństwa. Atoli wszystko to wcale nie odstraszało Trofyma. Postanowił nie

żałować siebie i zachodzić w najdziksze ostępy, czy słońce prażyło sierpniowe, czy łamał kości mróz trzaskający.

Z początku w tym nowym zawodzie nie szło mu jeszcze tak gładko. Nad tropiącym po lasach strażnikiem przeważał jeszcze żołnierz, przyzwyczajony stąpać po bitej drodze, wedle szablonu przepisanego.

I tak, gdy miał się zbudzić o północy, goniąc za jakim przemytnikiem, obudził się według normy koszarowej o godzinie, w której rozpoczynają wprawdzie swoje czynności żołnierze, ale nie ludzie przekradający się z tytoniem.

Nieraz tropiąc złodzieja zapomniał się tak dalece, iż mierzonym krokiem maszerował, równą drogą ubitą, jakby tamten miał również w prostej linii uchodzić — dopiero zmiarkowawszy zboczył w ustronne wertepy, jednak przychodziło mu to zrazu nie łatwo: nie wiedział chwilami, jak iść i któredy. Zdało mu się, jakby zboczył z bitej drogi obowiązku.

Różne miał jeszcze dawniejsze nawyki. Pedantyzm koszarowy zdawał się przytłumiać samodzielną człowieka, pozostawionego teraz własnemu rozumowi. Z przyzwyczajenia bowiem oczekiwał nieraz, jakby rozkazu z góry; tu zaś miał do czynienia z ludźmi, co się żadnej normy w uporządkowaniu swoich czynności nie trzymali, którzy spali we dnie, a w nocy po księżycu, częściej zaś w czasie największej pluty i zawieruchy swoje za-

łatwiali sprawy. Trofym zaś, choćby i trzech nocy nie spał, w dzień się przez to nie położył; gdyż to nie była jego godzina.

Jednakże działo się to tylko z początku, w pierwszym roku — w dalszych zaś miesiącach coraz już rzadziej. Po jakimś czasie przyszedł do zupełnego rozpoznania nowych swych obowiązków, i spełniał je z odwagą żołnierza, sprytem tropiącego złoczyńców agenta policyjnego, zręcznością górskiego strzelca, a wytrwałością w ponoszeniu trudów naszego wieśniaka.

Potrzeba zaś wtedy było nie małego poświęcenia i nie małych trudów, by w tych lasach nie-schodzonych wytropić złodziei końskich, uciekających to na Bukowinę, to na przemian ztamtąd szukających schronienia na *lackij storoni*, po lewym brzegu Czeremoszu, albo wyłapać kryjących się po zapadłych wertepach złoczyńców, uciekających przed sprawiedliwością.

Były wypadki, że tropił tydzień, dwa tygodnie, nieprzerwanie szajkę jaką, brodząc po lasach — to wchodząc do chat odbiegłych od siół, badając dzieci i kobiety, aż póki nakoniec nie dokazał swego. Czasem poczęstowano go pałką, a nawet siekierą, lub nożem wydobytym z nienacka; bywały wypadki, że strzelano do niego, lecz to wszystko wcale go nie odstraszało.

W okolicach zaś górskich — nad Prutem — nad Czeremoszem, gdzie łańcuch Czarnohory przedziela kraj nasz od Węgier, a Biały Czeremosz,

od ziemi bukowińskiej — było właśnie pole dla wszelkich przemysłowców końskich, dla szajek tego rodzaju dobrze uorganizowanych, dla przemysłowników różnego autoramentu. Strażnik bezpieczeństwa publicznego musiał tu być niejako żołnierzem kresowym; do tego nie było tu żadnych stepów, kędyby oko można było puścić daleko, lecz gąszcz puszczy nie przebytych, głębokie jarugi i pustynia najeżona złomami głazów.

Dzień w dzień nadchodziły skargi, że gdzieś to temu, to owemu biedakowi, skradziono konia, zabrano innemu parę wołów, które miano uprowadzić aż na Węgry, na jaki jarmark tamtejszy, gdzie już przejść musiały w trzecie ręce, drogą kupna legalnego; albo znów był napad na gazdę spokojnego, od którego ciemną nocą jacyś ludzie w *nałyczmanach*¹⁾ wydusili *banki*²⁾ długo chowane, to korale przeznaczone na wesele dla *doni*.

Nieraz się znowu zdarzyło, jak zwykle u huculów, u których krew gra gorąca, a rozum nie ma czasu dostatecznego do opamiętania się, że w swarach o miedzę lub o wypas dla bydła, poturbował brat brata, »nie wiele« mu wprowadzie zrobiwszy, jeno wybiwszy oko, lub złamawszy dwa żebra — a gdy już wtedy sąsiedzi chcieli tę rzecz ubić przy kwarcie wódki, niby na dobry przykład

¹⁾ *Nałyczman*, maska twarz okrywająca, używana przez rabusiów.

²⁾ *Banka*, jeden złoty reński u huculów.

dla drugich, wtedy zastanawiał się Trofym, czy oni mają tu prawo w taki sposób przywłaszczać sobie niejako atrybucye władzy sądowniczej... I przyszedł do przekonania, że to z jego sumieniem urzędowem wcale się zgodzić nie może; więc jednych i drugich prowadził na sąd inny, co ich już nauczył, które to są sprawy prywatnego, a które publicznego znaczenia. Bo gdyby szło wszystko torem huculskich zwyczajów, to w dal-szem następstwie wieśniak nasz mógłby nabyć prze-konania, że to także może być uważane jako przy-padek, i puszczone bezkarnie, gdy czasami *czetowik* *zinkę* swoją szturknie niechcący, tak niewinnie wi-dłami, że ta się już położy — a położywszy, nie opuści chaty, aż dopóki jej z tej chaty po dniach niewielu nie wyniosą już drudzy na marach.

Gdyby Trofym nie był przeszedł przez inną szkołę, niżeli bracia jego huculi, byłby sądził tak samo; lecz jako żandarm doszedł do tego, co jest prywatną, a co publiczną krzywdą. W górach onych wiedzą dobrze dziś ludzie tamtejsi, ile to bezpie-czeństwo publiczne, ile moralność społeczna winna żandarmeryi i jej członkom pojedynczym, których praca, choć mniej głośna, jednak niemniej ważna, jak bojowników walczących za własną ziemię, za ogniska domowe.

Stróżom tym bezpieczeństwa, trudem ich i poczuciu obowiązków, winny są dziś góry i ich po-loniny, drogi tamtejsze i gościńce, że teraz nie po-trzebują drzeć przed bandami opryszków; oni to



wytropili ich z najskrytszych kryjówek, zwęszyli w każdej norze, w każdej jarudze zapadłej.

Ze wszystkich szajek rabusiów, jedna tam najgorzej buszowała na granicy bukowskińskiej, przekradając się z końmi szczytami Czarnohory na stronę węgierską. Ta najgorzej dawała się wszystkim we znaki, gdyż była to tu, to tam, prawie wszędzie. Kiedy jej szukano po głuchych wertepach Białego Czeremoszu, pojawiała się nagle w borach *Kukułtu*¹⁾ a *Krywych Hegi*²⁾, zabierając konie z polonin gazdów *Worochteńskich*³⁾ — i ściagała w tamte strony całe roje strażników, by niespodzianie wykonać jakąś *robotę* w stronie wręcz przeciwnej.

Mówiono, jakoby do niej różni nawet należeć mieli gazdowie z *Worochty*, to z *Zabiego*⁴⁾, a nawet i ze stron węgierskich. Przewodzić miał w niej jakiś śmiałek, co popełniwszy kilka kradzieży, a nawet podobno i morderstwo, uciekł z któregoś z węgierskich więzień.

Rozpowiadano sobie o nim, iż ma taką siłę, że się pięciu nie dałby chłopom — a byli i tacy, co wierzyli, że się go nawet kula nie imie.

Drudzy znów opowiadali, że na własne oczy widzieli w tej szajce żyda — i to takiego, iż ktoby

¹⁾ *Kukuł*, ²⁾ *Krywyci Hegi*, dzikie pasma, bliskie łańcucha czarnohorskiego, od strony dorzecza *Prutowego*.

³⁾ *Worochta*, ostatnia tu wieś w górach głębokich od strony Prutu.

⁴⁾ *Zabie*, największa wieś huculska, w kotlinie Czeremoszu Czarnego i bocznych jego rozworów.

go w nocy ujrzał, ze strachu strętwiałby odrazu. Żyda podobnego widywali znów inni na jarmarkach końskich w *Körösmező*¹⁾ — to w *Szygecie*²⁾, a czasami i w *Sadogórze*³⁾. Rozległe miały być jego interesa. — A miał to być żyd, silny jak zwierz, a łakomy jako wychudła przy szczeniętach wilczyca.

Strach rozchodził się nie mały po siołach u brzegów *Rybnicy*, ponad obu Czeremoszami, a nawet i w okolicach Prutowych, lub w przeciwnej stronie bliżej Seretu bukowińskiego; albowiem nie raz już spotykano i od straży kogoś, zamordowanego w lesie, a raz nawet i żandarma w pełnej zbroi. Trwoga też była ogromna; zdawało się, że napowrót wracają czasy opryszków.

Tropił ich nieustraszony nasz Trofym, chodził za ich śladami, wypytując się tu i ówdzie o szczegóły wydarzonego gdzie wypadku, narażając się na największe niebezpieczeństwa. Mimoto wytropić ich nie mógł. Tropili i inni; mieli tu nawet żołnierzy do swej pomocy.

¹⁾ *Körösmező*, miejscina w głębokich górach po stronie węgierskiej.

²⁾ *Szyget*, miasto węgierskie, dalej już na południe w górach.

³⁾ *Sadogóra*, miasto na Bukowinie, sławne z jarmarków końskich.

VI.

Razu pewnego rozeszła się wiadomość, że po węgierskiej stronie miano sprzedawać niemało koni, pochodzących z naszej strony Karpat. Lecz żadnego z tego rodzaju przemysłowców nie pochwycono. Wpadli gdzieś, jakby w wodę.

Ktoby wszelako zajrzał w głąb borów i jarów zapadłych, ponad rozworami głównego Czeremoszu — ktoby się w takiej chwili, gdy burza szalała na grzbietach Czarnohory, odważył wyjść na grzbiet jej, zobaczyłby, jak postacie jakieś, wśród zamieci śniegowej, przebijały się grzbietem czarnohorskim, między *Popem Iwanem*¹⁾ a *Dżembronią*²⁾ — kręcąc się tędy to owędy, nito złem gnani.

Twarzy ich niktby nie zobaczył, gdyż burza i straszna zawieja, podnosząc z ich grzbietów odsłoniionych *petaki*³⁾, jakby im na złość, zarzucała je na oczy, by drogi nie mogli ujrzeć. Innym z nich znowu rozwiany włos, śniegiem przyprószony, puszczony na wolę zawiei, przesłaniał całkiem dzikie oblicze.

Burza szalała, jakby wszystkie biesy z piekieł się dziś wyrwały. *Płaju*⁴⁾ żadnego nie można było

¹⁾ *Pop Iwan*, najwyższy szczyt Czarnohory od strony bukowskińskiej.

²⁾ *Dżembronia*, najbliższy tamtemu szczyt czarnohorski od strony zachodniej.

³⁾ *Petak*, krótki sierak huculski.

⁴⁾ *Płaj*, ścieżka w górach.

znaleść — ludzie ci zapadali w śniegu... Chwilami wołał jeden na drugiego, ażeby mu pomógł ze śniegu się wydobyć.

Przestwór cały, co się roztaczał w przepaściach u stóp pasma czarnohorskiego, jakoby znikł teraz nagle, jakby gdzieś się podział. Straszliwa białość śniegowa — *mraka* zimowa — bez końca, bez początku — przyciągnęła razem do siebie niebo i ziemię. Głębię całą u stóp Czarnohory musiała podnieść do góry, chcąc ją spoić z niebem, gdyż jej teraz nie było...

Ludzie ci błędzili... lecz nie musiały być im obcemi te miejsca, gdyż jakby po omacku natrafiali na głazy pojedyncze i złomy gładów, sterczące na *Smotryczu*¹⁾.

Tu burza rozszalała z całym impetem — huk wichru taki był zagłuszający, że jeden drugiego nie słyszał; rozmawiali jeno rękami, mimo to się rozumieli.

Na szczycie *Smotrycza* przystanął z nich jeden, zapatrzony przed siebie w dół — ku północy... lecz głębi żadnej, widnej kiedyindziej w dzień jasny, nie było tu widać... On zdawał się czegoś szukać — i rozpoznawać, bijąc się z zawieją, która mu raz po raz *petak*, szarpany wichrem, na twarz zarzucała... Rozglądali się i drudzy.

Nareszcie, jakby poznali, którędy im iść wy-

¹⁾ *Smotrycz*, szczyt czarnohorski przed Popem Iwanem, wysunięty więcej na północ.

pada, ruszyli w dalszą drogę; a choć oczom ich droga wydawała się równą, wiodącą przez masę białą *mraki* zimowej — mimo to, czuli, że w dół schodzili, i to nawet dość stromo. Atoli wiatr tu już tracił na sile — mogli też kroku przyspieszyć — nie zatrzymywani borykaniem się z nim gwałtownem.

Gdy się niżej staczali, mgły nieco rzedniały — i lekko już się zarysowywały jakieś cienie ogromne, nito widma gór w gęstej osłonie śnieżnej *mraki*. Masy te, przezierające przez gazę onę białą, były nieco szarawe: dlatego też tylko oczom widne.

Im niżej schodzili — tem bardziej wiatr ustawał — i masy owe z za *mraki* coraz bardziej stawały się szare, a przestwór cały zdawał się być wypełniony jakby panoramą wymarzonych jakichś we śnie gródów ze mgły, to wierzchowin ze szarej *mraki*.

Nareszcie *mraka* o tyle zrzedniała, że wyraźnie stanęły przed ich oczyma pasma niższych gór, ciemniejące szafirem — a dalsze, zupełnie nawet białe — jak gdyby powstały z samego tylko śniegu.

Ludzie ci przyspieszyli kroku i wyraźniejsze były już teraz ich oblicza.

Było ich mniej więcej sześciu lub siedmiu. Jedni mieli twarze dzikie, opalone wichrami zapadłych okolic, przesłonięte długimi włosami, które im oczy prawie zakrywały; innych twarze wskazywały, że się nie po *lackiej* stronie rodzili. Jeden z nich nawet całkiem brunatny, o zapadłym, uko-

śnem oku, patrzył na cygana. A był między nimi i żyd, gdyż mimo olbrzymiego wzrostu i silnych mięśni, poznać było można wschodnie jego rysy i oczy wielkie a wypukłe, na wierzch wysadzone.

Tymczasem *mraka* jak gdyby znikła — i wszędzie dokoła czerniały tylko lasy, tu i ówdzie przyprószone śniegiem.

Burzy prawie już nie było — i tylko jasność została zimowa.

Na szczytach zaś Czarnohory musiała jeszcze na dobre szaleć, gdyż tej wcale znaku nie było; rzekłbyś, że gdzieś znikła, rozplynęła się w górze, łącząc się razem ze sklepieniem niebios. I tylko szare, to białawe, rozciągały się tam smugi; lecz one były już na sklepieniu niebieskiem.

Wędrowcy owi zboczyli teraz w las, i tam dopiero odetchnęli. Ten i ów wyjął z zanadru flaszkę — pijąc z niej chciwie, by się teraz ogrzać.

— Nu, słuchaj ty, jeden z drugim... czy chcesz się zapić — i zostać tu gdzie w lesie?... A, ganef!

— Ta nie bój się, żydzie!... Jeśliby nas który tu *stryżak*, ano *wyżeł* jaki chciał odwiedzić, jabym mu, *prysiaj Bohu*, własny jego bagnet zapchał pomiędzy żebra...

— Nu, ty wiesz, durny, że ja się niczego nie boję... tylko chyba... głupoty waszej, jeślibyście tu pałkę waszą zalali.

— Ot, prawisz, odezwał się inny, jakbyś i sam nie zaglądał nigdy do flaszy. A miałbyś ty

tyle siły, ta już spryt taki, gdybyś nie pokrzepił rozumu swego *sywuchą*?

— A tak! *sywucha* daje człowiekowi wszystko.

— Tak, tak, dobrze prawi, odezwali się inni.

— Ona nasza mamunia... *przyhołubi* człeka, gdy mu zimno zacznie łamać kości.

— Mamunia człeka opuści, dodał inny, taj zabędzie, że niegdyś na świat wydała, a ta pozostanie mu wierną, póki aż człowieka... gdzie tam...

I tu nie znalazł wyrazu, by dokończyć; lecz żyd już dokończył, dodawszy szydersko:

— Póki chłopca nie wpakują tam, gdzie mu miasto *sywuchy* dadzą jeno *szałamachy jakiej niemieckiej w Iwanowej chacie*.

— Albo może, co lepiej, dołożył inny, wymownie wskazawszy jeno kościstą ręką na szyję swoją.

Lecz tu zaczęli pomrukiwać towarzysze.

— O! ba!... Nie pierwszyczna to nam!... A! niedoczekanie tym psom swoim!

— Już ja-ci jednego ugłaskał, że nie wstanie i nie będzie więcej tropił, rzekł ten, który patrzył tylko ku ziemi, ale tu musiał się odezwać, gdy wspomniano owych, z którymi on miewał do czynienia.

— Myślisz, że ci tego zapomną? — odezwał się żyd. Oni już mają sposoby... mają swoje poczty i tyle wyźłów, że zwęszają... A telegraf, chłopie ciemny?... Czy ty rozumiesz, co to telegraf?

— A pisma różne drobne, rzekł inny, których

bies nie przeczyta, a nie dopiero chłop, co nie umie czytać?...

Po drużynie przeszły ciarki — twarze dzikie pozieleniały, lecz żyd uśmiechnąwszy się, dodał: No, no, to tak się tylko mówi — czy ja niewiem, że wy macie rozum?

— Choć nie żydowski, ale chłopski.

— Co ty gadasz, Kuryło?... Gdyby nie żyd, toby was już dawno wytropili... Żyd ma już spryt swój... i takie sposoby, o jakich chłopu ani się śni.

I tu, by ich nie urazić, skrzywił się z uśmiechem niejakię słodyczy, lecz był to uśmiech tego rodzaju, że po innych przeszłoby mrowie... ale ludzie ci mieli nerwy zahartowane.

Cygan zaś położył się jak długi, na zimnej, dobrze mokrej ziemi i kurzył sobie ze smakiem bakun, nie mieszając się do rozmowy.

— No, to nie czas teraz *besidowaty*, rzekł najstarszy wiekiem, ale i najsilniejszy, którego broda gęsta przyprószona była nieco siwizną, a który dotychczas nic nie mówił, jeno sobie dumał. Dalej! zabierać się, chłopcy!

Nie wiele też wypocząwszy, ruszyli dalej, by gdzie przecież w lepszym miejscu ogień módz rozłożyć i ogrzać się — a może i zasnąć po dłuższej mitrędze.

Gdy już tak kroczyli czas niejaki lasem, zdało się temu to owemu dostrzegać z dołu wijący się jakoby dymek do góry — ale to musiało być jeno złudzeniem.

— Ta, gdzieby tu kto i o takiej porze przesiadywał w lesie! — odezwał się z nich jeden.

— Nu, tak się zdało, jakoby dym szedł na prawdę do góry, chłopcy? — rzekł żyd, który oczy swe mocniej wytrzeszczał.

— Ta, ot, majaki!... Wszak ci pastuchów teraz nie ma tutaj?

— Ty... patrz!... *uf mene munes!*... tam bo jakby na prawdę blask przeziarał między drzewami? — odezwał się żyd, wpatrzony z natężeniem w jedną stronę.

— Tać prawda... ktoś tu jakby rozłożył *watę*¹⁾. Chodźmy tam bliżej, chłopcy!... Kto się ośmiela kłaść teraz *watę*?

— Tylko ostrożnie chłopcy!... Kto wie, co bo tam być może!

— Ta ot, jednemu z was pójść tam ciszkciem i przypatrzeć się, coby to być mogło, rzekł najstarszy.

Poszedł więc zaraz jeden z nich kocim chodem, zachodząc od strony. gdzie las był gęściejszy; drudzy zaś posuwali się zwolna, chwilami przystając... Widoczna, że tam ktoś na prawdę ogień rozłożył... Czuć nawet dym było.

Po chwili wróciwszy, ów wysłany na przespiegi, powiedział ciszej: — Ta, naprawdę, człowiek jakiś rozłożył tam *watę*... aleć to jakiś biedak...

¹⁾ *Watra*, ogień rozłożony.

— Ta, gdzieby on tu szedł teraz, taj po co?...
Pójdziem wszyscy, chłopcy!

A gdy się zbliżyli do tego ognia, człowiek ów tamże grzejący się, miał minę zaleknionego; zaczął też zaraz wołać błagalnym głosem:

— Ta, co odemnie weźmiecie? *Prysiaj Bohu!* ja nic nie mam...

— Alboż my cię rabować chcemy?... Gadaj, co ty za jeden?

Ale człowiek ten trząsł się tylko i oczy mu biegały wystraszone.

— Ja biedny, *marny człowiek!*... *Pomyłujcie!*

— Odpowiadaj, coś ty za jeden?

— Nu, gdzie ty idziesz? — rzekł żyd, obejmując obcego wzrokiem... Ty wyglądasz, jakbyś wyszedł z kryminału... *A Diab!*

Lecz człowiek złożył ręce, niby do modlitwy.

— *Pomyłujcie!* — wołał. Ja biedny *człowiek!*... Wy *dobryi ludzie?*... Toż mnie im nie wydacie?... Oni mnie tak tam męczyli, morzyli głodem, bili do krwi. Ja musiał uciekać z ich kaźni.

Cała powierzchowność obcego tego była rodzaju, że wyglądał jakby świeżo uszedł z kryminału. Ubiór też na nim był aresztancki a włosy nisko ostrzyżone.

— *A Kryminalist!* — szepnął żyd, i zamyslił się.

— To on z kryminału? — zapytał ów ze siwiejącą brodą. A gdzież ty teraz idziesz?

— Ta, czy ja wiem?... Człowiek rad, że

uszedł z duszą... ot, musi już uchodzić, gdzieby go nie poznali...

— A jak cię tam w tym kryminale trzymali?... Znęcali się zapewne?... Tam, mówią, człowiek musi siedzieć w lochu ciemnym pod ziemią, w wodzie po kolana? — ozwał się Kuryło, niegdyś rudy, dziś cały biały.

Zarzucali go pytaniami. Cygan zaś wybałuszył tylko oczy, słuchając ciekawie. Ten wolałby już brodzić, choćby o ścierwie końskim, surowem, lub i o głodzie, wśród deszczów zimnych a zamieci śnieżnych, lecz na swobodzie, niżeli tam mieć jakie takie nawet wygody; on się najwięcej bał, by nie zamieszkał kiedy w onej *Chacie Iwanowej*.

Żyd tymczasem nad czemś tylko przemysliwał. Nareszcie zwrócił się do nieznajomego:

— Słuchaj ty... co ty będziesz tak robił i gdzie ucieczesz?... Nu, oni cię złapią... i dubeltowe narzucą kajdany — a może i powieszą?...

Na te słowa miał obcy nader przerażoną minę — i prawie mu się na płacz teraz zbierało.

— Ta, może być?... Oj, biednaż moja *hołowa!*... Ta, dajcie mi jaką radę, *dobryi lude!*

— Nu, zostań już z nami, rzekł żyd, który chciał w interesie szajki swojej skorzystać z kłopotów nędzarza, co wszedł w kolizję ze sprawiedliwością.

Żyd zrozumiał, iż człowiek ten teraz trzymać się ich musi — a że on zdawał się być chłopem

silnym, do tego grubego karku i szerokich pleców, toż właśnie takiego im potrzeba.

I drudzy zaraz się zgodzili.

Nieznajomy okazał na to taką wdzięczność, że ledwie z radości nie zapłakał. Przyobiegał wier nie im służyć — do śmierci... Będzie robił, co każą... byle się nazad nie dostać do kaźni, gdzie go głodem morzono a torturowano.

Tak więc dostali jednego więcej towarzysza.

Ponieważ zaś nie mógł to być jeszcze praktyk, w różnych przygodach wypróbowany, trzeba też było mieć go do czasu na oku, zwłaszcza, że i on chwilami jakoś patrzył na nich z ukosa. Do tego brał się do rzeczy niezgrabnie... Widać, że to nowicyusz w tym fachu. Kraść mógł tam sobie umieć, ale i to nie bardzo zręcznie, gdy go trzy razy złapali, jak sam zapewniał. Musiano też mieć teraz baczną nań oko, żeby im tu czego nie skradł: za to zaś mieli z niego niemałą wysługę, bo się nie odciągał od trudów, czy pójść gdzie na zwiady, czy gałęzi nanieść do ognia; stawiano go nawet często na straży, a stał tam z takim uporem, po pas prawie w śniegu, żeby już drugi był zamarzł. On się zaś nie bał tu ani wilka, ani upiora lasowego. Czasami tylko odchodził na godzin parę — to na pół dnia; myślano nawet, że już uciekł, a może gdzie i zamarzł — ale on wracał z ciekawą jaką nowiną, wytropiwszy gdzie zwierza, lub dowiedziawszy się, w której stronie obracają się żandarmi.

VII.

Po kilkunastu dniach, wracała nasza szajka z jakiejś wyprawy, na której się nieźle obłowiła. Widać było, że im się udał »interes«; gdyż rozłożywszy się w lesie na wypoczynek i roznieciwszy ogień, postanowili przed nocą trochę się uraczyć. Jutro bowiem, kto to może wiedzieć, jaka ich znów nowa czekać będzie praca!

Mieli ze sobą baryłkę zrabowanej »sywuchy«; pokładłszy się pokotem dokoła ognia, do którego dokładał gałęzi ów niedawno zwербowany towarzysz — zaczęli się na dobre pokrzepiać... A że nie było co jeść, należało to zastąpić »sywuchą«.

Żyd przestrzegał, w obawie, by za dużo nie wypili, gdyż na później nie zostanie; lecz oni nie dali sobie mówić. — Bo skoro dziś się tyle napracowali — to czemu mają sobie żałować?...

Ogień syczał — dym się rozchodził; — oni pili na umór... a pragnienie paliło; zimno zaś nocy dodawało podniety.

Towarzysz ich nowy, dokładając do ognia, patrzył na pijących z pod oka... Gdy stary to spostrzegł, zawołał:

— Na, pijże i ty!... widzę, że ci ślepiea wyłożą... Dajcież i jemu!...

Ten zaczął ciągnąć również, lecz jakoś dosyć leniwo.

Żyd zaś wcale nie myśląc się upić, spojrzał

tylko z pogardą na pijanych, mruknawszy: *A goj!... Sollt krepiren!*... I ułożył się do snu, podgarnawszy sobie więcej igliwia świerkowego.

Drudzy zaś pili na zabój. Towarzysz ich nowy tłómaczył pijącym, że i on słyszał, jak to *sywucha* daje niemało człowiekowi siły a zdrowia; był nawet dziś mowniejszy, rozповідаjąc o różnych przygodach, jakie zasłyszał od *kumpanów* swoich kaziennych. Prawił ciągle; oni też ciągle popijali, choć temu i owemu już się mroczyło w głowie. On im dogadywał, żeby pili... Wszak i *pany* *piją*, i to mocny *harak z horbatoju* — toż wiedzą, co dobre.

W górze coraz bardziej chmury się zbierały — księżyc z czerni chmur wydobywał się z wysiłkiem, to nazad za nie zapadał, ogień syczał, podmuchem wiatru ciągniony w tę to w ową stronę; oni jeszcze dopijali.

Jednemu, to drugiemu, na dobre już chwiała się głowa — oczy zaś przybierały wyraz ospały... zdały się mgłą zachodzić. Już się nawet słowa nie chciały kleić; mimo to niepewnym ruchem rąk sięgali jeszcze po *sywuchę*... Nareszcie ten i ów, kiwając się na jedną, to na drugą stronę, zwałił się jak kłoda, i zaczął chrapać.

Sługa ich wierny, po chwili, podniósł się ostrożnie, zaglądając jednemu, to drugiemu w twarz — i stał tak jakiś czas nieruchomy, jak gdyby chciał oddech w sobie zatrzymać, nasłuchując, czy oni śpią teraz wszyscy... Potem kocim chodem postąpił bliżej i nadstawił słuchu, czyli żyd chrapie.

Gdy się o tem upewnił, podszedł do innych, a nachylając się ostrożnie nad jednym to drugim uważnie, położył tylko do ognia większą kłodę i odszedł, zniknąwszy gdzieś w cieniach lasu.

Dłuższy czas go nie było... a gdy się kłoda wypaliła i ogień gasnąć zaczął, zbudził się żyd instynktowo, a zoczywszy, że nie ma sługi ich przy ogniu, zaklął tylko w swoim żargonie, mruknąwszy: *Nu, a ganef! win jak bela* gdzieś chrapie — i sam do ognia dołożył gałęzi, poczem nazad się położył, i zasnął napowrót.

Na niebie nie było widać ni gwiazd, ni księżyca. W górze wisiąca nito otchłan czarna... Coś ciężkiego było w powietrzu, jakby na złą wróżbę. Oni zaś wszyscy chrapali... jeden, to drugi, przez sen chwilami coś bełkotał.

Sługa wrócił po niejakiem czasie — stąpając ostrożnie... a gdy padł tam promień z ogniska, wtedy coś w ręku jego jak gdyby zabłyszczało... On zaraz położył to uważnie na boku, chowając po za pniak drzewa. A chociaż czynił to ostrożnie, mimo to zabrzączało.

Podszedł potem bliżej do śpiących, nadstawiając uszu, czyli wszystko tuż we śnie głębokim... najostrożniej zaś obchodził zdala żyda.

I wnet się wrócił za drzewo owe, gdzie był coś przed chwilą położył.

Wtém nagle wyszedł — a przystąpiwszy do śpiącego żyda, zarzucił mu coś na usta, że ten się

zerwał, nie wiedząc, co się stało — i zaczął bełkotać, charcząc tylko przyduszonym głosem.

Żyd był zakneblowany.

Tamten mu teraz czempredziej przyłożył żelazo do piersi, przyciszonym rzekłszy głosem:

— Ani piśnij!... Jeśli będziesz chciał krzyczeć, a któryby się zbudził, to ci to wbiję pod żebra — rozumiesz?

Żyd nic jeszcze pojąć nie mógł — gdy mu tamten tymczasem nałożył na ręce małe kajdanki.

Żyd drżał jak w febrze i chciał wołać, ale był zakneblowany. Zdawało mu się, że rzucono nań czary.

Potem przyskoczył człowiek ów do najbliższego leżącego, i w jednej chwili zakuł tegoż w kajdanki, które był wyjął z zanadrza.

Żyd teraz pojmując, co tu się święci, a dorumiewając się, że to morderca, przerażony powstał z trudnością, chcąc rozbudzić towarzyszy; lecz tamten wyjął czempredziej rewolwer, a wymierzywszy do niego, kazał mu nazad usiąść i ani gębą nie ruszyć.

Żyd upadł w tył, przerażony, a on trzymając ku niemu wymierzoną lufę, cofał się powoli w tył, oka z żyda nie spuszczać... doszedłszy zaś do miejsca, gdzie miał złożony ciężar swój cały, wyjmował ztamtąd jedno to drugie, i wrócił napowrót do leżących by kłody, których próbował teraz pętać tak samo.

Związał wnet nowego, który całkiem nieprzy-

tomny, wybełkotawszy tylko: Co to?... Co... tam... takiego? dał się spętać, i w tej samej chwili zasnął.

Inny znów obudzony, chciał się bronić, i zaczął się borykać; lecz ten go chwycił za gardło, prawie dusząc, żeby głosu nie wydał żadnego.

Żyd spostrzegłszy, że napastnik ów zajęty borykaniem się z drugim, przyczołgał się niby wąż, a mając ręce spętane, w jednej chwili zwałił się nań całym swem cielskiem, chcąc go ciężarem swoim przytrzymać i nie pozwolić obrócić się, zanim się drudzy nie pobudzą — lecz tu poznał, że trafił na równego sobie siłą: gdyż ten tak go silnie odtrącił nogą, iż żydzisko jęknąwszy powalił się na wznak — a zanim zdołał powstać, już i tamten, co opór stawiał, był zakuty, przerażonym jeno głosem wołając na resztę śpiących towarzyszy.

Wszakże daremnie!... Zanim bowiem tamci przebudzili się i zdołali pojąć, co tu się święci, wszyscy już byli w kajdanach.

Gdy się już teraz wszyscy rozbudzili i zaczęli z przestraczem pojmować, co się tu stało, a oczyma przerażonemi pytać, ktoby to był ten ich towarzysz tajemniczy, co teraz wszystkich popętał, gdy żyd wybladły siłąc się wyjąkać zakneblowany, dawał tylko znaki, że wszystko oddadzą, byle tylko ich nie zabijał: rzekł człowiek ów, przybrawszy inną teraz minę;

— Złodzieje! rabusie!... a poznajecie teraz, kto ja jestem?

Wszyscy patrzali z wyteżonemi oczyma, przerażeni.

On poszedł parę kroków, podjął coś z ziemi, i stanął, trzymając w rękach karabin.

— Żandarm! — zawołali przerażeni.

— Trofym Ołenyn!

Po Kuryle mróz przeszedł. Wszyscy oni słyszeli o Trofymie żandarmie, ale go nigdy nie widzieli zbliska.

Kuryło zaś sięgnął w przeszłość i głowę pochylił ku ziemi, jakby mu ostatnia dziś wybiła godzina. On bał się podnieść oczu na Trofyma. Znał go niegdyś dzieckiem, widział go niedorostkiem... ale później już z nim się nie zeszedł; rysy zatem jego w pamięci wuja całkiem się zatarły.

Trofym nie poznał dziś tego człowieka.

Wszyscy ze skutemi w tył rękoma spoglądali na żandarma, dygocąc zębami. Ten się wnet odezwał:

— Mam tutaj głównych przywódców; innych już tam wydacie, gdy was przycisną. Teraz popędzę was przed sąd!... Pójdziecie wszyscy ze mną!... A ktoby się iść wzbraniał, tego kolbą w łeb!

Oni pospuszczali głowy.

— No, teraz i temu trzeba rozwiązać gębę... niechaj gada, tylko nie za wiele, bo zaraz narzucę!...

I podszedłszy do żyda, odjął mu knebel.

— A teraz, marsz, wszyscy w drogę! ¹⁾

¹⁾ Wypadek tu opisany złapania całej szajki i zakucia przez żandarma, zdarzył się rzeczywiście w lasach nad Czeremoszem.

Oni się jeszcze ociągali, lecz widząc, że to nie żarty, szli już w milczeniu — a żelazo brzęczało głuchym dźwiękiem; ociągających się zaś podganiał końcem bagnetu.

Próbowali z początku zmylić drogę i obłąkać zandarma, lecz tu musieli się przekonać, że on znał lepiej od nich samych wszystkie te zakątki.

Kuryło spozierał z przerażeniem na Trofyma i bił się ze swojemi myślami, czerwieniał, to ble-dnął. Otwierał usta, jakby chciał mówić, lecz wnet ustawał, aż wreszcie zawołał:

— Trofymie! synu Ołeny!... Tać ty mnie nie poznajesz?...

Trofym się wypatrzył — i coś jakby go ude-rzyło. Atoli poznać nie mógł odrazu, bo rudy Ku-ryło był teraz siwy; do tego i twarz chłopca okropnie już zmieniona była zmarszczkami.

— Widzisz?... A ja ciebie zaraz poznał!... Nie chciałem ciebie gnębić, boś ty brata własnej matki swojej tu zakuł.

— Toż to ty jesteś, człowieku?...

I tu się na chwilę przeraził.

Ale wnet dodał z determinacją:

— Cha! to już przeznaczenie Boże!... chociaż to okropnie!...

— Ta-ci ja wiem, synu, że ty brata matki swo-jej — ty wujka własnego nie wydasz im w ręce?...

— Tyś mi nigdy nie był wujem... Tyś mnie tylko nienawidził, jak i matki mojej... biednej mo-jej matki!... Nie podałeś jej łyżki strawy, gdy

marła z głodu... zostawiłeś ją na barłogu, gdy konała!... Tyś syna jej porzucił, jakby psa... Nie było złego, czegobyś mu nie wyrządził. Ale ja nie chcę o tem wspominać... Na co mi dziś tego!... Gdybyś dla mnie był prawdziwym nawet krewniakiem — a ja tu cię dziś *przydybał*, między tymi ludźmi, nie sprzeniewierzyłbym się przeto służbie swojej — i to samo z tobą uczynił...

Wszyscy obecni, widząc tę scenę, otworzyli szeroko oczy — i była chwila, że zaczęli żywić niejaka nadzieję... ale teraz puszczali jeno głowy, głucho pobrzękując kajdanami.

— *Pomyśluj!* Trofymie!... *Pomyśluj!*... Tać ja wiem, że ty tego nie uczynisz? Ty zawsze był dobry chłopiec... tyś nikomu nic złego nie uczynił...

— Ha! tak... Jam był wtedy dobrym chłopcem... sierotą bez ojca, bez matki nareszcie... jam nikomu nic złego nie czynił... Biedowałem a nie kradłem — a tyś czem był dla mnie?... Tyś na mnie zawsze judził drugich, zapewniając, że ja będę złodziejem — opryskiem... a teraz, gdzieśmy się zdybali ze sobą?... Ja nie miałem ni chaty, ni roli, ni rodziny, ciągnął dalej, ty zaś miałeś i chatę swoją i pola i łąki, miałeś rodzinę, co cię kochała... a teraz, jak my się tu zdybujemy?... O! nie chciej się tłómaczyć: bo mi wstyd słuchać... Wstyd wielki nam dziś obydwom, żeśmy się tu zeszli. Ale co się stało — to się stało. Taka Boża wola! — i ja ciebie dziś zawiodę tam, kędy i two-

ich towarzyszy. Ja nie sędzia — ja tylko sługa tych, co was wszystkich sądzić będą!

Kuryło nie rzekł nic już więcej... zaciął tylko zęby, i patrząc w ziemię włókł się wraz z drugimi.

Żyd zaś, choć w dół patrzył, chwilami jeszcze z ukosa podnosił wzrok na żandarma, zdając się o czemś jeszcze namyślać.

Wszyscy kroczyli ze spuszczonym wzrokiem, pobrząkując łańcuchami.

Nareszcie spróbował jeszcze żyd wchodzić w układy z żandarmem. Obiecywał mu złote góry, skoroby ich puścił wolno; wystawiał mu, że odtąd nie będzie nawet potrzebował trudzić się służbą swoją, uciążliwą, gdyż on, jako bogaty, dobrze go nagrodzi. Ma bowiem niemało, gdyż pracował dni tyle, trudząc się z tą hałastrą.

Ale Trofym spojrzał nań ostro i kazał milczeć. Gdy zaś żyd mimo to raz po raz odzywał się, chcąc go skusić, żandarm wyjął knebel, zagroziwszy, że go nań napowrót nałoży. Żyd musiał zamilknąć; oczy jego przybrały wyraz jakiś nieokreślony, jakby wody zamarzłej, a czoło ściągnięte zmarszczkami, wyrażało już tylko beznadziejność rozpaczcy... Inni patrzeli ponuro, wiedzieli bowiem, co ich czeka, bo człowiek ten, twardy jak skała, nie wypuści już ich z rąk swoich żelaznych. Cygan tylko jeden miał minę bez troski, Ten szedł w dobrej myśli, bez frasunku — choćby na szubienicę.

Wlokąc się tak, nie mało już uszli drogi. Ciągnęli niby psy złośliwe, którym nałożono kagańce.

Nareszcie przyszła im jeszcze myśl ostatnia ratunku i znak sobie podawszy, nie mając rąk wolnych, wszyscy spętani dziś, naraz rzucili się z wielkim gwałtem na żandarma, chcąc go samym tylko rozpędem ciał swoich obalić na ziemię, przygnieść i tak udusić; żydowi zaś zabiegły krwią oczy, łysnąwszy wściekłością rozpaczy.

Trofym był jednak silny — i w mgnieniu oka zręcznie się odwinąwszy dwóch bliższych rzucił na ziemię, inni też zaraz, potknąwszy się o leżących, a zaplątawszy o własne pęta, padli na ziemię...

Żyd teraz zaczął łypać oczami — straszliwie blady — błagając, by mu życie darowano.

Teraz już byli pewni, że żandarm strzelać będzie, że najwinniejszych zakłuje bagnetem, aby móżdż resztę uprowadzić.

Objęła wszystkich straszliwa bledź przestachu. Obawa śmierci wysadziła oczy na wierzch przerażonym, żyd zaś usiłował zwalić wszystko na drugich, gdy wtém Trofym powstać im tylko kazał i bez zwłoki iść dalej.

Przechodząc następnie koło jednej z karczem, kiwnął na żyda, który się na odgłos zbliżających wychylił z bramy, i kazał sobie wynieść czemprędzej swój mundur, który był tu przedtem zostawił.

A teraz przebrawszy się, pędził jeńce swoje, prosto już do miasta.

Rozpoczęły się wnet śledztwa.

Dzień w dzień posyłano woźnych, to żandarmów, do tej, to do owej miejscowości... zewsząd

sprowadzano zaleknionych, którzy nie wiedzieli, jak wpadli w pułapkę.

Szajka cała, najniebezpieczniejsza ze wszystkich, okalająca siecią swoją wszystkie górskie sioła, była w ręku władzy.

Lud osiadły lżej teraz odetchnął.

Odeszły doniesienia do wyższej władzy o tym czynie bezprzykładnej odwagi. Przepowiadano Trofymowi nie małe wyniesienie i pensję do tego dożywnię. Chwalono go i zazdroszczono mu.

Atoli Trofym tem się nie cieszył... Wypełniwszy swoje przed Bogiem i ludźmi, był w sumieniu swoim spokojnym, ale wiedział, że owoców czynu tego nie będzie zbierał. Miał nawet przeczucie, że będzie ofiarą zabiegów swoich... Oni mu tego nie darują.

Własna obrona pozostałych jeszcze na wolnej stopie, a dobrze dziś przyczajonych, w razie zaś niemożliwości zemsta — dokona swojego. I gdy przysłano mu dekorację, i przeznaczono skromną pensję do końca życia, gdy mu winszowano ze wsząd: Trofym przyjmował to prawie obojętnie. Żali on długo będzie tego używał?

VIII.

Dnia jednego szedł Trofym pod wieczór w sprawie służbowej, przez las, dość z rzadka zarosły świerkami.

Słońce zachodziło — blade — jakby półsenne. Chmury dokoła mgliste — szare — czekały tylko, by je czempredziej pochłonać.

Trofym pojrzał na zapadające dnia tego światło — i jakoś mu się zrobiło nieswojsko.

Atoli szedł dalej. Lasu już nie było, jeno przestrzeń jakaś otwarta, słabo porośła szarą zielonością.

Spojrzał do góry — słońca już nie było, szary zmrok zapadał... Trofymowi ciężko zrobiło się na duszy. Szedł ze spuszczoneym wzrokiem — ale szedł dalej... Musi ujść niemało jeszcze drogi, nim zajdzie na swoje miejsce, choćby o północy.

Na niebie, po stronie, gdzie słońce zapadło, już wszelkie zagasło światło — tylko smugi, to szarawe, to białawe, rozciągały się jeszcze wzdłuż, w półświatle, to w półcieniach, spływając niewyraźnie... Po przeciwnej stronie mrok już osiadł zupełny.

Trofym patrzył posępnie przed siebie. Tak mu dziś tęskno było, jak nigdy dotychczas.

I wszedł znowu w las ciemniejszy.

Zdało mu się teraz, że coś za nim jak gdyby zaszeleściło.

To z szelestem spadła gałąź sucha na ziemię.

Kroczył zatem dalej — przemyśliwając o dniach swojej przeszłości.

Żyjąc lat tyle, nie miał nikogo, ktoby go sercem kiedy przygarnął. Pieszczot matki jako dziecko nie zaznał, ni opieki ojca. Inni mają ojców, on go

nie miał. Życzliwości drugich ludzi nie doznał wcale. Kochanki nie miał nigdy.

Kiedy był jeszcze w pierwszym zaraniu życia, nie myślał o tem, uważając się za upośledzonego; był dziwnie nieśmiałym, potem zaś nie dano mu czasu — w wojsku zajęty był służbą... a zresztą kobiety, jakie tam spotykał, nie mogły być po jego myśli.

Tak przeszedł mu wiek, kiedy krew jeszcze gra w żyłach gorętsza — i Trofym nie miał ni kochanki, ni żony. Nie zaznał nigdy, co to rodzina. Był sam jeden na świecie, to mu dziś tak smutno było, tak jakoś tęskno...

Wtem zdało mu się, że zoczył cień jakiś po świetle księżycowem — i chwycił za kurek... Ale wnet go spuścił. Tu drzew tyle, różnego kształtu: każde przecież cień jakiś rzuca.

I szedł dalej, rozmyślając nad dolą człowieka.

Wtem nagle błysnęło. I w tej samej chwili oczy mu zamroczyło... Chwytając powietrze rękami, padł... słysząc jeszcze huk wystrzału i czując już tylko szum w uszach.

Potem już nie wiedział, co się dalej z nim działo.

I tak leżał czas niejaki.

A gdy oczy otworzył, ujrzał koło siebie człowieka. Był to jeden z gajowych, który opóźniwszy się z powrotem do domu, a usłyszawszy strzał, zboczył ku stronie, z kąd głos się ten dał słyszeć —

i tu z przerażeniem spostrzegł na ziemi człowieka, a zdala widział drugiego, który spiesźnie uchodził!...

Trofym ramię miał roztrzaskane. Zwolna zaczął po chwili pojmować, co się stało... On zawsze przeczuwał, że się na tem skończy.

Przy pomocy gajowego dowłókł się do chaty. Dano znać zaraz do władzy. Przysłano wkrótce lekarzy. Ci dali mu pomoc: przedłużyli choremu mękę dni jego.

Trofym z goryczą spojrzał na dekorację swoją. Pomyślał również na płacę swoją — dożyłotnią — i dziwnie mu się zrobiło.

Czuł tylko zbliżającą się śmierć i patrzył na nią bez lęku.

Życie przecież jego nie zeszło daremnie. Czuł, że spełnił obowiązek człowieka.

Kiedy się rodził, krzywiono się, że przyszedł na świat jeden więcej zjadacz chleba, który do tego mniej miał od innych prawa — ale on za ten kawał rzuconego mu chleba, stokrotnie ludziom odsłużył.



TARAS z WOROCHTY.

(Nowella z życia ludu huculskiego).



I.

Przyszedł na świat nie w chacie własnej — nad kolebką jego nie śpiewano pieśni wesela — nie uśmiechały się do niego lica uszczęśliwionych. Przestrach i trwoga towarzyszyły dniom pierwszym zarania życia.

Matka, powstawszy jeno z łoża boleści, musiała opuścić chatę nie swoją, w której tylko z miłosierdzia użyczyli jej kąta ludzie obcy. Bo była sierotą. Rodzice jej mieli niegdyś chatę własną i nieco dobytku; ale to już przeszło: w chacie siedział dzisiaj stryjko nielitościwy, który dowiódł, że to wszystko jego. Poszła zatem na służbę — między obcych ludzi. A gdy zasłabła, nie mogła pracować. Nie miała też łyżki strawy dla zaspokojenia głodu, ni dachu nad głową. Żebrać przychodziło wszystkiego u ludzi dobrej woli: bo już nie była teraz sama jedna. Przybył na świat jeden więcej mieszkaniec w »Mikuliczyńskiej« kotlinie ¹⁾.

¹⁾ *Mikuliczyn*, rozległa wieś huculska w głębokich górach karpackich; dalsze jej części po jarach, odbiegłych od głównej kotliny, porozrzucane.

Przyjście na świat dziecięcia obchodzą gdzieindziej weselem — sprawiają chrzciny kilkudniowe, głosząc światu, że rodzina stała się bogatszą o jedną duszę więcej; tu zaś matka ponieść musiała swoją biedę dalej — nie przyszedłszy jeszcze do zdrowia. Dźwigała ciężar swój; karmiła maleństwo to, choć sama nieraz w ustach nic nie miała. Po różnych stronach a wertepach rozległego Mikuliczyna chodzić musiała za zarobkiem z dzieckiem na rękę, które krzyczało rozgłośnie, dopominając się o swoje, czemu ona nie zawsze zadość uczynić mogła.

W czasie pluty lub zawieruchy tuliła się ze swoim ciężarem pod jakie poddasze nie własne; gdy ją zaś wygoniono, szukała chaty jakiej opuszczonej, na pół zawalonej, z dogniwającymi w górze dranicami, kędy dym wszystkimi uchodził szczelinami, gdzieś na »Horbach«¹⁾ w rozworze »Prutca«, lub nad dalekim *płatjem*²⁾ Prutowym od strony Tatarowa. Nie było jeszcze wtedy, jak dzisiaj, gościńca do Węgier, przerzynającego Karpaty, a chałupy wówczas gazdów bardziej jeszcze niżeli dzisiaj od siebie odbiegały.

Gdy słońce świeciło na niebie siadała ona na zielonej murawie lub na zwirze po nad szumiącym Prutem, blisko *płatju*, którędy przechodzili ludzie ze sioła — by przecież który choćby z litości uła-

¹⁾ *Horbj*, tak się zwie część Mikuliczyna.

²⁾ *Płaj*, ścieżka w górach do konnej lub pieszej wędrowni.

mał kawał *korża*¹⁾ lub owsianego placka — nie dla niej, ale z litości nad dziecięciem, które wrzeszczało, gdy było głodne, a czasami uśmiechało się, jakby dawało znać, by się niem zajmowano. A tu nie tylko każdy, kto przeszedł, rzucił niechętnem okiem na maleństwo, wdzierające się do życia — lecz i zła gadzina wypełzła nieraz z pod kamienia nabrzeżnego, złoszcząc się, że to małe śmie jej zabierać miejsce na kamieńcu i słońce grzejące.

Wtedy matka z przestraczem uchodziła z miejsca takiego, przenosząc się na inne, nie lepsze -- i pytała się Prutu huczącego po głazach i szumu wiatru, czy one dla niej czegoś lepszego nie wywróżą... Ale Prut huczał jednakowo, i wiatr szumiał, to gwizdał, atoli nie przynosił zkadinaż doli lepszej. A przecież kotlina Mikuliczyńska dostała o jednego więcej mieszkańca. Chociaż ubogie jej grzędy dołem po nad rzeką zrzadka się tylko zieleniły bobem lub ziemniakami, przecież żywili się tu jakoś mieszkańcy sioła. Nie było wprawdzie uprawionych ogrodów, ni pól, szumiących złotem kłosów, jednakowoż *połoniny*²⁾ »Liśniowa«, »Jawornika«, »Gorganów«³⁾, dość wydawały, by się jeszcze jeden przytulić mógł mieszkaniec.

Mimo to gazdowie patrząc na ono maleństwo

¹⁾ *Korż*, placek kukurudziany z grubszej mąki.

²⁾ *Połoninami* zwa tu pastwiska na grzbietach gór, gdzie huculi na całe lato wyganiają bydło i owce.

³⁾ *Liśniów*, *Jawornik*, *Gorgan*, pojedyncze pasma wyższe w okolicy *Mikuliczyna*.

biednej matki, kiwali tylko głowami, po co to na świat przyszło — wcale nie proszone — pytając się kto je teraz wyżywi i czem?... Ot, lepiej, żeby sobie tam odeszło, zkad przyszło: to i dla matki byłoby lepiej i dla innych ludzi. Na co bowiem siołu cięzaru, jeżeliby jej kiedy nie stało. A nawet nie wiele do tego brakuje, gdyż ona widocznie z dnia na dzień marnieje, płacząc jeno za tym, co ją opuścił. Ha! po cóż zawierzyła synowi *bohaczy*! On dzisiaj tam... w drugim siole... może gazduje szczęśliwy z drugą... gdy ona tu płacze za nim, żal swój podając tylko Bogu. Daremne wszystko, nieboże! I ty skapiesz i twoje maleństwo.

Mimo to dziecię, choć znędzniałe, wyżółkłe, z zapadniętymi oczyma, jednak jakby na złość, twardo się trzymało tego świata. A gdy je choroba jaka nawiedziła, to chociaż tej żadna lekarka, żadna nie zamówiła znachorka, mimo to, cherlając długie dni i miesiące, zawsze jakoś stawało na nogi, do dalszego żywota na tym padole nędzy.

I tak żyjąc, rzekłbyś, przeciskając się tylko przez dni dalsze, doszło do tej chwili, w której już samo mogło biedz za matką i o swoje się dopominać.

Czasami bawiło się i z innemi dziećmi gazdów, a mimo, że nie miało do nikogo prawa, ośmieliło się nieraz uderzyć w zwadzie dziecięcej nawet i potomka jakiego *bohacza*, co liczył *marzynę*¹⁾ na

¹⁾ *Marzyna*, bydło rogate u hucułów.

setki; lecz wtedy musiała matka w jego stawąć obronie przeciw drugim, co odkazywały, że *widminie* tej łeb skręca, jeśli się porywać będzie na działawę *dobrych* gazdów.

W zimie po śniegu chodziło ono bosc, a choć wiatr mroźny świstał, miało na sobie jedynie strzępy koszuliny na pół rozdartej, w lecie zaś najczęściej biegało nagie. Nikt się temu nie dziwił, gdyż i dzieci gazdów najbogatszych nie chadzały inaczej.

Deszcz je obmywał, wiatr i słońce suszyło; kędzierzy na głowie nikt nie przyszczygał ani rozczesywał, toż rosły wisząc aż po pas prawie; służyły zatem za połowę odzienia.

I tak się doczekało siódmego roku życia.

II.

Z dnia na dzień marniejąc coraz bardziej, a patrząc na swą dolę i *tużąc* za tem, co przeszło, zaniemogła nareszcie nieszczęśliwa, nie mogąc się prawie ruszyć z barłogu.

Mimo to wstawiała, siłąc się iść dalej. Ach! bo ją ciągnęło gdzieś dalej...

Czy nie chciała tu kończyć, w Mikuliczynie?... Albowiem się ciągle gdzieś wybierała, jakby ku Tatarowu i Worochcie¹⁾. Ale nie mogąc zdążyć, kładła się napowrót.

¹⁾ *Tatarów* i *Worochta*, wsi huculskie za Mikuliczynem, w głębszych jeszcze górach. *Worochta* nie leży na drodze ku Węgrom, lecz od niej na lewo, jako ostatnia już wieś w górach.

Gdy zaś o tyle się wzmogła, że już szła o własnej sile, wlokła się *plajem* po nad Prutem. Lecz w Tatarowie ustać musiała. Przeleżawszy tu dni parę, wstała potem i podążyła w bok na lewo — do zapadłej kotliny Worochty. Jednak zaledwie tu doszła, wysiliwszy się nad miarę, powstać już nie miała siły.

Głowa ciążyła jej kamieniem — usta spiekłe paliły. Wołała już cichszym głosem, by jej kto podał wody, lecz nikogo koło niej nie było.

Dziecko biegło i tutaj po nad huczącym po złomach głazów Prutem i bawiło się rzucaniem na wodę kamyków; gdy zaś spostrzegło wykręcającą się między głazami gadzinę lub przebiegającego *plaj* nadrzeczny padalca, uciekało do matki przestraszone. Wtedy ona, nie mogąc się podnieść, słabym mówiła do niego głosem, żeby jej wody trochę z rzeki zaczerpało; a może która z gazdyń da jakiś kawał czerepa. Wtedy mały Taras wybałuszył jeno oczy, dlaczego *maty* takim dziś odzywa się głosem... potem poszedł do której z chat pobliskich i przyniósł czerep rozchlapującej się wody, którą chora piła pożądliwie, a wypiwszy na nowo pić żądała.

Pałiło ją we wnętrzu — toż chciała pić — coraz więcej... Lecz chłopięcia już nie było; ono pobiegło nad brzeg Prutowy. Było ciekawe — a tam świeciło słońko i fale wody mieniły się... błyskały, to gasły; igrając, rzekłbyś, na przekór, z światłem słonecznem: to się droczyły, niby przedrze-

zniając, to znów umykały, gdy je promienie słońca, chciały pochłonać. Chłopię na to patrzyło, mając zabawę, jakby było u siebie — w rodzinnem swoim siole.

Ale matka nie widziała słonka ni murawy zielonej. Leżąc od dni kilku, ciężko jeno oddychała; chwilami się zamyśliła, czemu ona dziś taka samotna — taka opuszczona?... A przecież nie powinna być teraz sama jedna? Przecież tak daleko tu się dziś zawlokła?... Ale nic mówić nie chciała. Do kogo ona bowiem ma dziś prawo jakiekolwiek?

I tu ciężko westchnęła. W westchnieniu tem była treść jej życia i skarga podawana niebu.

Pojrzała na swe ręce kościste — pojrzała na piersi wychudłe, gdzie żebra z po za skóry wystawały, żółtej, pomiętej i zamyśliła się. A przecież ona niegdyś była piękną i hożą i stroiła się w kwiaty: świat się do niej wtedy uśmiechał.

Było to przecież nie tak bardzo dawno; Ach! stawały jej w oczach te chwile, gdy »on« za nią gonił i czarnem pożerał okiem młodą dziewczynę. Czemuż potem inaczej się stało?...

Ha! Bóg jej nie dał mienia — nie dał też doli! Chwilami podnosiła się, jakby chciała przywołać tu kogo... wymawiała imię jakieś przez sen, a czasem i nie przez sen. Czy to imię było jej dziś jeszcze drogiem?...

Ale już czuła, że myśli jej, raz wraz rozrywane, w coraz mętniejsze przechodzą wiry i kręgi... Jakiś szum i zamęt nie daje nic już rozpoznać z tego,

co się koło niej działo. Dni dawne — dni przeszłości — mieszały się w głowie z migocącą w oczach zielenią trawy na dworze i szumem gałęzi a trzeszczeniem smereczyny, na której leżała. I czuła, że wszystko w coraz mętniejszy przechodzi zamęt... nareszcie zaszło jakoby w mgłę... Nic ją już nie boli — niczego nie pragnie. Dochodziło do uszu jeno słabe... coraz już słabsze, dygotanie jakieś nieokreślone.

I po chwili nic już nie wiedziała.

Leżała tak godzinę — jedną, drugą — nie ruszając się wcale, bardzo cicha i bardzo spokojna — ale jakaś niby insza, bardziej sztywna, a lice jej więcej było wydłużone i usta otwarte, lecz oddechu nie było żadnego.

Gdy się zaś mały Taras dość nabiegał i napatrzył, poczuwszy głód dokuczliwy pognął do matki, wołając jeść... Ale matka się nie ruszała. Chłopię czekało niecierpliwie, zanim się ona obudzi... Lecz nie mogąc się doczekać, wypatrzyło się, czemu ona dziś śpi tak długo?... I zaczęło wołać coraz niecierpliwiej, że mu się chce, a *maty* nie daje. Niechaj go przecież gdzie zawiedzie, kędyby jej i jemu dali kawał *korśa*, jak się to nieraz działo. Ale matka na wszystko była głuchą.

Niecierpliwe, zaczęło płakać coraz głośniej, wołając, że mu się jeść chce. Nareszcie zbliżyło się i zaczęło matkę ruszać, by się raz już obudziła... Atoli rozbudzić jej nie mogło. A wpatrzywszy się

w rozwarte jej usta i sztywne oblicze, przestraszyło się — nie mogąc pojąć coby to było.

Dotknawszy zaś jej ręk, uczuło zimno lodu i coś nieznanego, jakieś półsennie przeczucie przeszło mrowiem po kościach dziecięcia. Z przestachu pognało do chaty pobliskiej. Po chwili zeszli się ludzie Worochteńscy.

I poznali co się stało. Choć obca to kobieta, przybyła z Mikuliczyna, ale *chrystyanyna* nie zostawia przecież na śmieciach — niepochowanego... Grzeszne ciało obmyto, ręce na krzyż złożono, i zapalono światło.

Chłopię patrzyło na to wszystko z rozwartemi oczyma, i usiadło w kącie, czekając, rychło się matka obudzi.

— Oj, nie rychło, nieboże, zbudzi się twoja *maty*! — rzekła jedna z niewiast, które przychodziły z jałmużną pacierzy dla zmarłego.

— I gdzie to się teraz podzieje? — powiedział ktoś drugi, patrząc się na małego sierotkę, jakby nie na boże stworzenie.

Byli i tacy, co z litości obiecywali dziecku, że się *maty* jego obudzi, bo ona tylko tak twardo dziś zasnęła.

Chłopię patrzyło na wszystko zastraszone — nie mogąc pojąć, co się dziś stało z jego matką.

Na drugi dzień zbito parę nierównych desek — nieociosanych, i włożono niewiastę do ciasnej skrzynki.

Przyszedł dziad siwy, zgarbiony, za nim kilku

jeszcze chłopów z sioła, wzięli skrzynkę na barki i nieść zaczęli z pośpiechem.

Chłopię to widząc, zaczęło płakać i wrzeszczeć, nie mogąc pojąć, dokąd mu matkę oni zabierają.

Patrzała na to jedna ze starych kobiet i z li-tości odciągnęła zapłakane dziecko, tłómacząc mu, że *maty* jego śpi teraz... ale ci ludzie w lepsze ją miejsce zanosą, gdzie jej będzie już dobrze, a skoro ona się obudzi, przyjdzie sama do swojego sierotki.

Chłopię zdawało się niby wierzyć słowom niewiasty; ale wkrótce się wyrwało i dogoniło niosących matkę jego.

Atoli bojąc się, by go z drogi nie zawrócono, umilkło i szło niby spokojne, a ludzie widząc je idące za trumną, dziwili się, jak to maleństwo tylko samo jedno szło za trumną człowieka.

Ani dzwony nie dzwoniły, ani było słyszać lamentu *trembit*¹⁾, nikt nie śpiewał pieśni pogrzebowych, nie roіło się od ludu oddającego ostatnią zmarłemu przysługę: szedł tylko pochód cichy, pośpieszny, dziad z krzyżykiem i czworo chłopą, wynoszących czempredzej człowieka, by nie zawadzał dłużej na świecie. Za nimi biegło dziecko, a że biegło bez krzyku, nikt na to nic nie mówił.

Słońce czerwono zachodząc, patrzyło posępnie na ten pogrzeb samotny.

¹⁾ *Trembita*, na dwa sążnie długa trąba z drzewa świerkowego, korą brzożową okręcona, na której huculi grają na pogrzebach, smętne wydając tony, jak również i połoninach.

Wkrótce weszli między mogiłki na niewielkie wzgórze i tu zatrzymali się nad świeżo wykopanym dołem. Dziadek z siwą brodą przeżegnał trumnę i zmówił pacierz, drudzy zaś zaczęli spuszczać ją czempředzej do dołu... Chłopię, gdy to ujrzało, chwyciło się obu rękoma za trumnę i zaczęło wrzeszczeć okropnym głosem, nie mogąc zrozumieć, co oni chcą robić z matką jego.

I musiano oderwać chłopię, które rozplakane, wrzeszczące, zawiódł dziad do sioła, w czym mu pomogła nadybana po chwili niewiasta, bo dziecko się rwało, chcąc biedz koniecznie do matki swojej.

Z litości przetrzymało kobiecisko u siebie sierotkę, dała mu nieco placka owsianego i wytłomaczyła, że *maty* śpi tylko, a za trzy dni obudzi się i będzie już zdrowa.

Dziecko się wypatrzyło i jadło chleb ze łzami.

Posiliwszy się, zmęczone nareszcie, strudzone płaczem i zamętem myśli na pół sennych, zasnęło na ławie.

I tak spało twardo aż do rana.

Gdy otworzyło oczy, było już słońce wysoko. Ono zaczęło się teraz rozglądać, a nie widząc matki swojej, tylko jakąś obcą, krzątającą się po świetlicy niewiastę, która teraz już nań nie zwracała uwagi, patrzyało zdziwione, co to się stało... Ale wnet przypomniało sobie dzień wczorajszy. Wyszedłszy zatem po cichu na dwór, zaczęło się rozglądać, czy kto nie widzi, lub czy teraz obca ta niewiasta znów go nie zatrzyma.

Ale daremna twa dziś obawa, dziecię sieroce! kobiecie obcej ani w głowie, kędy się ty chcesz teraz obrócić!

Poszło też, jakoby instynktem wiedzione, drogą tą samą, oglądając się z obawą, czy kto za niem nie goni... Chwilami przystawało, miarkując po grzędach wychylających się z za *woryni*¹⁾, to po kępinach smereczyny, któredy mu iść wypada; czasem nazad wracało, zmyliwszy drogę.

I tak powoli kołując, to tu, to tam, z cichym płaczem, trafiło między mogiłki — a tu chodząc od grobu do grobu poznało świeże miejsce, gdzie jego matkę wczoraj wrzucić chciano. Lecz nie widząc już dołu tego, nie mogło poznać, żeby tam *maty* jego teraz była. Nie, *maty* gdzieś indziej tu leżeć musi! A może już wstała, schowawszy się przed niedobrymi ludźmi?

I obchodziło groby, przyglądając się tu, to tam, czy też gdzie ona nie przystanęła — przed niem ukryta. A gdy zoczyło krzak jaki, biegło zaraz z pośpiechem, myśląc, że ona tam się kryje. Nie mogąc zaś tu nigdzie nadybać, zaczęło płakać, wołając jej z wielkim lamentem.

Zanosilo się coraz więcej od ciężkiego łkania.

Gdy się już zmierzchać zaczęło, maleństwo to biegając od miejsca jednego do drugiego — spłakane, przestraszone, uciekło z obawy przed ciemną nocą, a parę razy potknąwszy się na drodze, upa-

¹⁾ *Worynie*, opłocenie z łupanego drzewa.

dło, lecz zaraz powstawało, czemp prędzej do wsi uciekając.

Czekało jeszcze dni parę, spodziewając się zawsze, że *maty* wróci. Lecz powoli coraz jaśniej, wśród haosu sennych marzeń i przeczuć, występowała w duszy jego myśl straszna — że ona już nie wróci.

Dziecko poznało pierwszy raz w życiu, co jest śmierć!

I patrzyło spokojne, posępne, jakby mu z dniami onemi lat parę przybyło.

W niedoli prędko się rozum rozwija i przychodzi doświadczenie. Instynktem doszło ono do tego, co innym dzieciom z trudnością w mózgi wrażać potrzeba.

III.

I tak dzieciak ten pozostał sam jeden -- o własnych siłach.

Worochcie przybył jeden mieszkaniec więcej, na własnem niby gospodarstwie.

Nie było ni chaty, ni roli, ni *statku*, ni czeladzi, a jednak było to gospodarstwo. Głód i chłód popędzały — toż było i staranie były i zabiegi.

Gdy próżnia w żołądku zaczęła dokuczać, przyszło chłopię pod obce jakie obejście i stanęło u drzwi cierpliwie, oczy mając zwrócone na krzątającą się gazdynię. Stało tak godzinę — dwie, cza-

sem do wieczora, dopóki wreszcie kobieta, zlitowawszy się, nie rzuciła mu kawałka suchego *korza* lub nie dała parę łyżek *huślenki*¹⁾ skwaśniałej.

Czasem zaś czekając do wieczora, odchodziło głodne, a wtedy ciągnąc dalej płakało; lecz przechodzący nie zwracali na to uwagi. Cóż robić! Choć małe, musiało pogodzić się z dołą i położyć gdzie pod krzakiem — przy *plaju*. Gdy zaś wiatr dukał, zaciągnęło się wtedy pod jaką koszarę, gdzie w sąsiedztwie cieląt lub kózek znalazło odpoczynek, oszturkiwane przez towarzyszy czworonożnych. Czasami które ze zwierząt zbliżyło się do gościa, i ośmielone zaczęło muskać go po głowie i lizać śpiącego; a wtedy śniło się chłopięciu, że jest koło swej *mateńki*, doznając pieszczot rodzicielskich. A gdy się rano obudziło, patrzyło dokoła zdziwione, i chmurki obsiadały już gładką skroń dziecięcia.

Bywały chwile, że dwa dni nic w ustach nie miało, a nawet i bez kułaka nie obeszło się od jakiej niecierpliwej gazdyni. Spłakało się w takim razie, lecz musiało być cierpliwe, poznawszy, że inaczej być nie może: bo jemu nic się nie należy.

I zdało się, jakoby wrosło do takiego życia.

Lecz gdy już w ten sposób mały Taras rok cały przeżył, widując inne dzieci, co nie sypiały na dworze, ni w chlewie ze zwierzęty, co siedziały w ciepłej chacie i miały matkę, która jeść im da-

¹⁾ *Huślenka*, mleko kiszzone ze słodkiego już sparzonego, zwykła potrawa u huculów.

wała: czuł już ku tamtym budzącą się powoli w sercu zazdrość.

Kiedy patrzył na takie, które *maty* myła i czesała, wdzierając na nie chwilami białą koszulinę — gdy on miał na sobie tylko kawał czarnej szmaty, podartej, z wiszącymi strzępami: budził się gniew w sercu młodemu, że inne dzieci piękniejsze, i że ktoś ma o nie staranie.

I tak dojrzewał Taras.

Choć skóra na ciele tem małym była pomarszczona, a oczy w dół zapadły, jednak plecy szerokie i piersi nieźle zbudowane wskazywały, że go natura do innej urody a siły przeznaczyła.

Razu pewnego zdarzyło się, że zmorzone głodem chłopię wlaźło w bób cudzy i zaczęło zrywać ukradkiem strąki, pchając je do gęby... Wtem szedł drogą jakiś gazda, rosły, barczysty, w krótkim, wyszywanym we wzory *kieptarze*¹⁾, mając na *soroczce*²⁾ pas suto nabijany *kilciami*³⁾. Kroczył hardo, wesół i buńczuczny, a zoczywszy dzieciaka w bobie, krzyknął, lecz na pół żartem: *A wyhody no z bobu gazdo!*

Lecz gdy dzieciak nastraszony stanął, błagając, by go nie bito, popatrzył nań chłop — i jakby

¹⁾ *Kieptar*, w zachodniej Galicyi „serdakiem“ zwany, krótki kożuszek bez rękawów, wzorzyście wyszywany; ubiór nader mało-wniczy.

²⁾ *Soroczka*, koszula używana jako wierzchnie odzienie, również strojnie wyszywana.

³⁾ *Kilcie*, błyszczące u pasa guziki dla ozdoby.

go twarz dziecka zdziwiła, zaraz odszedł, mruczając tylko do siebie: «Ta, jakby to już było?... Ot, *majaki!*...»

A dzieciak pozostał na miejscu, zapamiętawszy oblicze gazdy, który musiał być dobrym człowiekiem, skoro go nie bił.

Wiedzione też instynktem, za parę dni, znów się chłopię kręciło w tej stronie, dalszej nieco od środka sioła, gdzie spiesząc do Prutu, w większy potok oba się już łączą »Paradżyny«.

Szedł właśnie ów gazda na *kosowyci*, a miał w swojej *dziobence* kawał *budza*¹⁾ i *małaja*²⁾; ujrawszy go też dzieciak, ośmielony, przypadł zaraz i wyciągnął rękę. Chłop ujrawszy Tarasa, zaczął mu się nieco uważniej przypatrywać, lecz tylko z pod oka. I zaraz odwrócił twarz; mimo to, coś go ciągnęło, że napowrót popatrzył, a wtedy chmura osiadała na obliczu chłopca, który się teraz czegoś zamyśliwał. I odszedł jakiś smutniejszy.

Zaczął się teraz nieznacznie rozpatrywać po siole, co to za dziecko i którego ono jest gazdy. Skoro się zaś wywiedziało, że ono obce, bardziej to mu się nie podobało. Nakoniec mu powiedziano, że niedawno przybyła jakaś młoda kobieta z Mikuliczyna — i tu jej się zmarło. Nic na to nie odrzekł... ale odtąd był bardziej ponury.

¹⁾ *Budz*, plaskanka większa sera owczego, z czego później robią huculi bryndzę.

²⁾ *Małaj*, placek kukurudziany.

Gdy teraz kiedy dziaciaka spotkał, unikał go czempredzej,

Razu potem pewnego, gdy nastało kilka dni szarugi, a dzieciak zmoczony, zziębnięty, głodny, walał się od chaty do chaty, nie znalazłszy dla siebie przytułku, ulitowała się jedna z gazdyń i wzięła chłopię do paszenia gęsi.

Ha! teraz on nie będzie darmojadem: odtąd zapracuje na siebie. A jakby na zadatek, nakarmiła go w ciepłej chacie i pozwoliła się ogrzać koło *watry* ¹⁾.

Chłopak, gdy wyszedł z gęsiami na zieloną murawę, po nad Prut szumiący, zaganiając je, był dzisiaj szczęśliw, choć deszcz prażył zimny. On nawet był dumny, jakby już znaczył coś przecież, i to pierwszy raz na świecie. Przecież są stworzenia, co i jego słuchać muszą?... O! biada teraz innym chłopiętom, któreby się chciały z niego naigrawać! On ma już swoje władztwo, gdzie się czuje możnym.

I wracał ze swoją *hudobą* wieczorem do zagrody, a wszedłszy do chaty, spostrzegł z radością garnek na ognisku z gotującymi się ziemniakami, których pilnowała przy ogniu gazdyni.

Dziś pierwszy raz będzie *harczował* ²⁾, jak inni ludzie.

Lecz w tej chwili wrócił gazda z *kosowyci*, uj-

¹⁾ Ogień rozpalony na ognisku.

²⁾ *Harczował*, pożywiać się zasiadłszy do misy.

rzawszy zaś chłopca przystanął jak wryty. Potem zwrócił się do gazdyni, a wargi mu się trzęsły.

— A to... co tu... robi?

— Ta, było głodne i zmarzłe... Ot... przyda się... Wzięłam do gęsi...

— A tobie... co do obcego? — I był blady i czegoś dygotał, niby z zimna, niby ze złości. Może dlatego, że *zinka* obcym dziś rozdaje, a ma swoje dzieci.

Chłopak poznał znajomego już sobie gazdę; ale oraz przeczuł coś złego. Krew mu wnet podbiegła do góry.

— Czy ty masz... kobieto... tać już chleba bożego... za wiele?...

I tu nie mógł już dokończyć.

— Ta, myślałam sobie, po co ma się to dziecko — sierotka — na obrazę Bożą walać... Co ono temu winne?

— A co to... do ciebie... należy? Tu jakby mu dalej tchu zabrakło. Po chwili dodała kobieta:

— Ale to także Boskie stworzenie!

— Co to... już... do ciebie?... Ty masz swoje... Gdy to mówił był odwrócony od chłopca, nie mogąc się na niego patrzeć, tylko sierzdził się, drżąc z gniewu.

Chłopię musiało się też wynosić z chaty nie-swojej.

Spotkał je znowu zawód w wędrówce życia. Musiało uczuć żal do tego człowieka. Poznało już

nieprzyjaciela, który mu wydarł zarobek na utrzymanie życia.

Siadłszy zaś na ziemi przy drodze, dumało splakane, dlaczego ono takie porzucone, i czemu on je wypchnął... Czy ono takie już niepodobne do drugich chłopiąt?... I co ono winno temu człowiekowi?... Żali to wróg jego?

Na początku wędrówki życia miało już wroga swego.

Ale tu poczuł mały Taras siły swoje; poznał, że przecież do czegoś przydać się może i żyć na własnym chlebie — nie proszonym — nie żebranym. On może już pasać gęsi.

Myśl ta sprawiła, że się uczepił tego, jak tonący deski. Chodził od chaty do chaty, czy też się gdzie której gazdyni nie przyda do pasania gęsi... W samej rzeczy udało mu się to w jednej z chat.

Wyganiał zatem swoją *chudobę* na zielone łąki po nad Prutem — a że sporo tam było kamienia, musiał im miejsca dobierać. Tu staczał nieraz walki z innemi chłopiętą, dbały o powierzony sobie drobiazg.

Gdy zaś dnia jednego, w takich przygodach, silniejszego wyciął kułaka pewnemu chłopięciu, którego ojciec miał niemą *połoninę* i lasu spory kawał na »Kływie«, owiec zaś i kóz, jakby *chmary* wróbli; poznał wtedy, że to nie każdemu bić wolno. Jego bowiem zbito i sponiewierano, że musiał przeleżeć całe dwie niedziele, skwiercząc z bólu i zaciśkając zęby. Ha! uczył się już sam nad sobą pano-

wać. Musiał w sobie kryć nawet nie małą chęć odwetu a zemsty — i krew w nim zakipiała. Porzucony prawie na śmieciach, nie żałował, że się już nie wyliże, jak mu w oczy mawiali wszyscy — jeno to go gryzło, że już swojego na drugim nie odbije. Chęć zemsty budziła się w nim silna i trawiła go; ale i trzymała, dając mu wytrwałość w walce o byt. Zaciskał zęby, sycząc z bólu, ale nie dał się śmierci. Zaglądała mu ona w oczy, paliła piersi, łamała kości młode, nie dopuściła żadnej lekarki ni żadnego znachora: mimo to jakoś wygrał z nią sprawę, choć ona silniejszych obala.

Powstał wprawdzie wychudły jak szczypa, pomięty, z zapadłemi oczyma a wystającemi szczęki, ale jej się nie dał. Choć żebro miał jedno złamane, ucho prawie do połowy rozdarte, do połowy tylko zrosłe, choć na głowie były znaki od ciągów, gołe nawet miejsca, gdzie dawniej bujał włos czarny, lśniący: ale jakoś włókł się nasz Taras.

Ha! w takim stanie poznał, że mu dziś nie czas do odwetu.

Uczuł swą niemoc.

Ale młodość czyni cuda. Gdy świeże powietrze powiało, cieplejsze nastały czasy, krew w chłopcu zaczęła krążyć żywiej... powoli zatem tyle przynajmniej nabrał ciała, że powrócił do dawnego zdrowia. Ze zdrowiem, z napływem krwi świeżej, i myśli jego jakoś inny wzięły obrót. Dzisiaj jakby o zemście zapomniął. Młodość prędko zapomina. Mimo to czasami się jeszcze zamyśliwał, a wtedy

bywał poważnym i posępnym; coś się w nim gotowało. Jednak, gdy się przebiegł po zboczach niższych »Rebrowacza«, gdy się odważył na dalsze pasmo »Diłu«, i świeższe owiało go powietrze: odbiegły trapiące chłopca myśli.

IV.

Gdy już nieco podrośł i mógł się przydać na połoniny podczas lata *bouharom*¹⁾, rozpoczął nowe życie.

Tu ze starszymi pastuchami, na »Ryzach«, na wysokiej, długo ciągnącej się połoninie, pilnował wraz z innymi stada wołów. Posługiwano nim się teraz, a stary *watah*, rządzący tu w *kołybie* i młodsze *łeginy*²⁾ nie pożałowali wcale *znajdy*. Skoro on ma siłę, niechaj się drapie po zboczach, niech zagania *marzynę*.

A gdy jaka sztuka gdzie się zatraciła pod wieczór w gęstwinie leśnej, posyłano go, by odszukał. Wtedy najczęściej sam, a czasem z drugim starszym, musiał przechodzić *zwory*³⁾ i wertepy leśne, drapać się przez gąszcz paproci, przebijać się przez szerokie, olbrzymie liście »zgasiówki« deptać *tojad palczasty* o sinem kwieciu i przełazić raz wraz

¹⁾ *Bouhar*, pastuch od bydła rogatego.

²⁾ *Łegin*, parobek, tyle, co *mołodec* u Kozaków.

³⁾ *Zwór*, wąska dolina, niby roztwór w górach, który sobie potok wyłobił.

kłody próchniejące, omszone, które pokładł wicher i pioruny potrzaskały... Chodził tak po lesie... i strach go obejmował, kiedy była cisza leśna, wielka, szeroka, a tylko gdzieś tam kuły samotne dzięcioły. Gdy zaś wicher powstał i gałęzie świerków poruszać się zaczynały z głuchym, posępnym szumem, wtedy mrowie przechodziło mu po kościach. Mimo to szukać musiał zgubionej sztuki. Za to gdy znalazł, wracał jak żołnierz, dumny, że prowadzi jeńca; siedł z tą myślą, że go choć teraz pochwałą. Ale kiedy wrócił, musiał tylko uszy spuścić pod siebie, nastąpiło bowiem niemiłe rozczarowanie, gdyż miasto pochwały łajano go, że taki niezdara, skoro tak długo szukał zgubionego z własnej winy bydlęcia. Przy jadłach zaś koło *watry* trącały go starsze parobczaki.

Poznawał niechętny, że nikogo tu kochać nie może; gdyż dopóki sam nie wiedział o własnej sile, myślał, że pośledniejszym jest od innych, ale poznawszy lepiej siebie i do czego jest zdolnym, nie mógł dziś pojąć, dlaczego on ma być gorszym... Utrwalała się też w nim pewna gorycz a złość do drugich.

Lecz gdy wyszedł z dymnej *kołyby* i stanął zdala od innych, sam będąc tylko ze sobą, na wyższym *groniu* ¹⁾, a z północy i z południa miał tu przed sobą długie pasma gór w ciemnej krasie szafiru, świecące jaśniejszą zielenią, i chłód go owie-

¹⁾ *Groń*, grzbiet góry.

wał wierzchowin orzeźwiający: wtedy zapominał o nękających go myślach — i coś się mu roiło, że mógłby być tutaj szczęśliwym, gdyby tych drugich nie było. Poznał dziś, że mu towarzysze tylko zawadzają; w bliźnich czuł jeno wrogów.

Popatrzył po za siebie: a tam wznosiła się garbami, wyższa nad inne, bardziej pusta i bardziej zwirowata »Kobyła«, nito posępna od północnej strony strażnica. Przed nim zaś od strony południowej, po za ciemnymi na stokach borami, wychylały się z czarnej gęstwy zieleńsze *haławy*; mówiono, że i tam, na tych odbiegłych od sioła miejscach, mieszkali jacyś gazdowie. W dole zaś, w głębokim a długim parowie, toczył się Prut, po nad którym wznosiły się pasma różnej barwy i różnego oświetlenia, aż się gubiły gdzieś daleko w jakąś siną dal, w powietrzną *mrakę*¹⁾, lekką, białawą, ledwo oczyma dojrzaną.

Tu się lubił Taras zapatrywać, dziwując, że świat taki wielki: on tego nigdy nie przypuszczał.

I zamyśliwał się, coby tam przecież być mogło?... Żali tam także żyją ludzie? Tać mówią, że żyją... Mają tam być Węgry... Tak gadają... I także są tam ludzie. Żali tam również tacy oni srodzy?... Tać pewnie!... Ba, i gorsi... Wszak to jakiś lud ma być czarny... Ponoś nie zna nawet

¹⁾ *Mraka*, mgła w Karpatach, która wszystko obejmuje dookoła, że wszelki widok znika.

ludzkiego języka... Inna ich jakaś gwara, nito wilcza lub niedźwiedzia.

Gdy się tak zamyśliwał, nie spostrzegł, jak mu zbliżający się *bouhar* dał z tyłu szturchańca... Zerwał się na to, chcąc usprawiedliwić. Lecz tamten nie dopuścił, zawoławszy tylko: »Tam *marzyna* się rozchodzi, byki się rozbiegają — a on-ci tu stoi, tać pogląda gdzieś na bory, taj góry dalekie!... Oj będzie to zbój!«

Tak gonił go do roboty. Taras szedł niechętny, zbudzony ze swoich marzeń; miał nawet chętkę odbić krzywdę swoją choćby i na starszym — lecz spostrzegłszy, że ich tu tyle, a niktby się za nim nie ujął, szedł kryjąc tylko w sobie niechęć.

Złość swą, nie mogąc na ludziach, odbijał na wołach, które nieco dalej po długiej rozchodziły się połoninie. Dziś je mocniej smagał kosturem; a gdy który z byków gorętszych rogi mu swoje miał minę pokazać, otrzymał takie po łbie cięgi, iż poznał, że siła poważna — bycza, korzyć się musi przed kaprysem choćby niedorostka.

Mimo to rósł Taras nabierając siły i odwagi; pierś mu się rozrastała, ciało wypełniało, choć je wędziły suche na gór grzbietach wichry.

Dnia jednego, podczas gęstej *mraki*, usłyszeli pastuchy przeraźliwy ryk wołu na końcu stada, które zaczęło zbiegać się przestraszone. Poznawszy zatem, co się święci, pognali w stronę poryku i ujrzeli, jak *mysio* spiąwszy się na zadnich łapach, uczepił się przednią za kark wołu, i dalej ciągnąc,

próbował chłęptać krew szamocącej się ofiary. Tu wszyscy zaczęli krzyczeć i wymachiwać drągami, ale bestya tak była zażarta na tę ciepłą krew, że się odgonić nie dawała, lecz stojąc na dwóch łapach, jechała dalej na wole.

Jeden ze śmielszych parobczaków zbliżywszy się, wyciął drągiem po łbie smakosza; ten zatem porzuciwszy wołu, wziął się do człowieka, tak szparko, że już mu łapę położył na karku, chcąc ją wyrwać, lecz wraz z mięsem człowieczem. *Bouhary* przestraszyli się; Taras atoli, któremu oczy zaświeciły by u młodego rysia, jak był niewielki, przyskoczył i *mysia* po uszach uraczył. Zwierz obrażony za taką śmiałość, i to dziecka prawie, odwrócił się w mgnieniu oka, trzymając w łapach zakrwawionych kawał mięsa człowieczego... i dalej skoczył na naszego chłopca, który chwycił nogi za pas i zaczął zmykać, a mysio tuż za nim... Mimo to wzięła jeszcze Tarasa chętką, że schyliwszy się podjął kamyk z ziemi, i trafił w nos mysia, iż ten aż ryknął z bólu. lecz chłopak już mu się był wykręcił. Gdy zaś zwierz tylu napastników zoczył gotowych z drągami, wyrwał jeno młodą smereczynę z korzeniem... i dalej nią machać na obie strony! Nareszcie, za wielu widząc przeciwników, dał za wygraną, i ze wstydem wyniósł się niespyszna w bór ciemny.

Odwiedziny takie gościa leśnego zakończyły się tem, że byk został na karku pofałatany, ale i parobek miał złamany obojczyk i część grzbietu

nadwerężoną. Lecz gdyby nie uderzenie w czas kosturem Tarasowe, byłby chłopu mysio kark zламаł i czaszkę ściągnął z głowy wraz z gęstym kędzierzem.

Taras stał dumny ze swego czynu, a krew mu podeszła do twarzy... Stał cały czerwony, aż po same uszy, z włosiem rozwianym, a duma i zadowolenie biły mu z oczu.

Wkrótce zaś poznał, że tem sobie tylko narobił nieprzyjaciół; *bouhary* bowiem nie chcieli uznać, że to on obronił chłopą; miał to być jeno skutek respektu mysia przed ich drągami. Ha! musiał dziś Taras doświadczyć, co znaczy zazdrość drugich.

Mimo to lato owo na połoninie zakończyło się dla niego z korzyścią. Wyrósł i nabrał ciała a cery. Gdy jesienią wrócił z *bouharami* do sioła, prawie go nie poznano. Wrócił silniejszy i bardziej smagławy, w koszuli, hołoszniach i *rzemieniu*¹⁾, jakby dymem okopconych, a włos mu gęsty, lśniący, wyrósł prawie do pasa, oczy zaś jego pałały dziś skrywanym żarem i ciskały jakieś dawniej niewidziane błyski.

Lecz gdy potem zrzucił z siebie czarną *mazanę*²⁾ i skąpał się w Prucie, a starł z ciała jakby

¹⁾ Tak zwą tu pas węższy.

²⁾ *Mazanka*, koszula czarna, wygotowana w maśle, jakiej używają pastuchy na połoninach.

kopec długiego na połoninie pobytu, wyglądał jak inne niedorostki sioła.

Gdy nadeszła zima, wróciły się znów gorsze dla niego czasy; jednakowoż teraz, mimo że daleko mu jeszcze było do parobka, najął się już za *najmity*, gdyż miał siłę nad wiek i krzepkość nie-lada. Mimo to dawano mu poznać, że więcej jé, niżeli warta jego praca; nieraz też rzuciwszy w złości miskę, kładł się spać bez wieczerzy.

Mimo to czekał cierpliwie, by się raz zakończyła zima niepoczesna; bo gdy nastanie lato, potrafią go lepiej ocenić.

Zgadzał się dość z towarzyszami... czasem potraktował kułakiem, gdy go który nazwał znajdą, ale bał się tylko jednego człowieka, do którego miał jakby wstręt wrodzony. Lecz i ten go unikał; a gdy się czasem zdybali obaj oko w oko, spojrzeli na siebie niby dwa wrogów. Przecież nic ich nie wiązało do siebie, ani też byli sobie na zawadzie: bo że go tam stary jako chłopię wygnał z chaty, nie potrzebując do gęsi, toć każdemu wolno przyjąć lub nie przyjąć do chaty swojej. Mimo to, gdy się kiedy przypadkiem obaj zdybali, chłopakowi krew uderzała do góry i oczy łyszczały, a gaździe jakby jej wtedy w twarzy ubyło, i pozierając z pod oka, uchodził on posępny.

Skończyła się zima — nastały wichry wiosenne i roztopy wiosenne; a gdy pod lato słońce lepiej przygrzało, gdy się połoniny zazieleniły, był znowu Taras z innym już *watahą* i *bouharami* na

»Kitiłowce«. Chłód go owiał wierzchowiny; wtedy popatrzył przed siebie i klasnął w dłonie.

Przed nim w dole po falistych zboczach i jarach i parowach straszliwa bez końca puszcza ciemnych lasów, a w niej, jak powiadano, roi się od wilków, rysiów i niedźwiedzi.

Tu strach go zdjął, ale i coś pociągało: w głowie czuł zamęt i płonęło mu w mózgu.

Tam w dali, po za innemi pasmami, siniała rysując się na tle błękitnem niebios sama już »Czarnohora«, o której nieraz słyszał. Tu wpatrzył się w zakryty w górze *mraką* kopiec »Howerli«¹⁾ i dalsze jaśniej widne szczyty, które później poznał jako »Zaroślak«, »Poziżewsko«, »Dancerz«²⁾.

Zdziwił się, jakby baśnie nocy zimowych stały mu w oczach wraz z opryszkami, których miejsca one miały być siedzibą — i krew mu w żyłach żywiej zagrała. A gdy po chwili chmura ustąpiła i cały zarysował się kopiec Howerli, nie mógł oczu oderwać od tego ogromu i stał wpatrzony, żar zaś płomienisty bił mu z oczu.

Pytał się teraz *watachy*, czy daleko ztamtąd już do nieba. Stary *watach*, jako lubiący gwarzyć, rad teraz opowiadał niestworzone rzeczy o Czarnohorze, o strasznych jeziorach w jej kotlinach, o obłędzie, co tam ludzi za oczy chwyta, o wichrach

¹⁾ *Howerla*, najwyższy szczyt *Czarnohory*.

²⁾ *Zaroślak*, *Poziżewsko*, *Dancerz*, szczyty łańcucha *czarnochorskiego*.

i piorunach, co zapalają lasy... a młodzież stała dokoła, słuchając starego i drżała na widok takiej pustyni i tego, co ona ukrywała.

Ha! przyjdzie im się tu może nieraz zdybać i z opryszkami, ale gdy im oporu nie postawią, zadowolą się oni w takim razie jedną, a może dwiema sztukami *marzyny* i odejdą sobie w pokoju. Oni na *srokowce*, ukrywane po *bohaczach* Worochty, Jabłonicy i Kosmacza skorsi, niżeli na *marzynę*, której nie będą przecież wiedli na jarmarki.

I to drugie lato przebył Taras z bouharami a widział już nawet i opryszków, którzy z watachą nieco potargowawszy się, zarznęli jedną, to dwie sztuki bydła, upiekli na ogniu — i dalej pociągnęli.

Taras drżał nieco na widok tych kudłatych, rośłych, o groźnych obliczach a dzikim wzroku; lecz powracał zawsze do nich myślą i bawił się ich obrazem.

Zdawało mu się, że z nimi można się tak samo, jak z ludźmi ze sioła oswoić... Wszak oni nie pożerają ludzi?... Alboż to z nimi nie *besidowano* w pokoju?

Tak samo przebywał Taras i następne lata na połoninach. A górskiem oddychając powietrzem, owiewany wichrami i śnieżycą szczytów, rozrósł się już prawie w chłopa.

Kto dziś widział parobczaka o silnej budowie ciała, cerze smagławej, a włosach bujnych, lśniących by krucze skrzydła, o oku czarnem, w którym się żarzyły jakby niedogaste węgle, ten nie byłby

poznał owego z przed laty sierotki o żółtawem, zapadniętem obliczu, o wystających z pod zmiętej skóry żebrach.

Gdy teraz poczuł Taras swą siłę, chciałby już zostać *łeginem*, najmował się zatem z zapalem do *splawów* na wiosnę, w jesieni, kiedy nie był na poloninach; jednakowoż brano go tylko do pomocy starszym *łeginom*. Tu musiał się im wysługiwać, a nieraz wśród zimnej pluty lub mgły jesiennej, mrozącej kości, skakał do wody, by *splaw*, zatrzymany gdzie na jakiej zawadzie, podważyć i dalej popchnąć, choć tam bywali i starsi i silniejsi *kiermanicze*¹⁾. Ale on się rwał do wszystkiego, a nie pytając, czy go tam szarpia i kaleczą ostre w korycie złomy głazów, z kolanem zranionem, krwią ciekącym, chwycił dalej za *kiermę* i silił się, by go już zechciano uznać za *łeginą*.

V.

Gdy Taras został już *łeginem*, a był chłop jak dąbczak — nie krzywo spoglądały nań dziewczki z sioła; ale i on nie był też od tego, skoro jaką zobaczył krasawicę.

Przy *plesaniu* w gospodzie, gdy którą z nich porwał, taka dobrze trzymać się musiała, by nie ustała w połowie... gdyż był krępy i silny — a

¹⁾ *Kiermanicz*, flisak u huculów; *kierma*, długie wiosło.

obracał się przytem chybką, jak pstrąg górskich potoków. Krasawice też za nim przepadały.

Przychodziło zatem często do bitki między *łeginami*, zwłaszcza gdy szedł w *prysindy* z jaką *donią bohacza*. Wtedy drudzy parobcy dawali mu przydomki, które on odbijał na ich plecach. Ale i ojcowie, co mieli zebrane *srokowce*, nie byli mu raddzi; nie mogli chcieć żadną miarą, żeby ich *donie* wyjść miały za *łeginę*, na którego nie spadną ni stada owiec ni daleko ciągnące się połoniny.

Lecz tu się daremnie obawiali, gdyż nasz *łegin*, poobracawszy jaką taką w płasach, rzucał potem, będąc przekonany, że ani ona dla niego, ani on dla niej. Zresztą do *bohaczów* i ich córek miał prawie wrodzony wstręt — a nieraz nawet wydarzyło się, że jaką *donię* bohacza szturknął, jakby tylko ze złości, choć mu ta nic nie była winna.

I tak razu pewnego, wśród takiej ochoty, między zebranymi przed gospodą krasawicami była jedna, co ciągle nań poglądała, ale nieśmiało, ukradkiem tylko — i tu się czerwieniła, by leśna kalina. Ale że to była donia bohacza, z którym on miał już oddawna na pieńku, nie myślał więc na to uwagi zwracać. Pamiętał bowiem dobrze onego gazdę, który go jako dzieciaka nie uznał godnym paść swoich gęsi i jak *sobakę* wygnał z chaty. Potem tyle razy zdybywali się jeszcze, patrząc na siebie z pod oka, nito dwa wrogów. Czuł zatem ku niemu nie małą nienawiść: a to zaś jego córka!

Nie mogąc na ojcu, chciałby teraz odbić swoje

na dziewczę. Płasając zatem z innemi, zostawiał ją jakby naumyślnie, wiedząc, że ona właśnie na to czekała — a gdy koło niej przechodził, nie wytrzymał, żeby jej bodaj choć nie szturknął. Gdy zaś Ołena się zaczerwieniła i na płacz się biednej zebrało, czuł wtedy jakieś wewnętrzne nawet zadowolenie; przemyślał nawet, jakby bardziej jeszcze dokuczyć doni bohacza tego. Chciał się mścić na biednej, za wszystko złe, co mu kiedykolwiek wyrządzono; choć dodać należy, że czasami, wyrządzwszy jej jaką krzywdę, żałował potem i litość go zbierała, iż się tak daleko posunął: bo co ona temu winna, że jest córką tamtego.

Ale zaraz potem starał się w sobie przytłumić wszelką litość, jako niewczesną: miał pewną rozkosz w czynieniu jej na złość; on się silił, by to było dla niego rozkoszą. Był jakby złością pijany.

Ale Ołena cierpiała. Nie mogła się biedna wydziwić, czemu ten *łegin* tak jej nie cierpi, czemu choć raz łagodniejszem nie spojrzy okiem. Alboż-to ona taka już *pohana*?... Gdy się przeglądnęła w wodzie, nie zdało się jej, żeby tak było w samej rzeczy.

Była to bowiem dziewczka jak łania, a oko miała ciemne — nieco przymglone, niby mgłą lekką owiane, ale łagodne. Może i tam tlał płomień?... Ale nader nieśmiało, a przytem jakiś smutek i poddać się woli drugich cechowało lice dziewczęcia. Miała wiele cierpliwości... Ona wzdychała, płacząc tylko pokryjomu.

Taras na to nie zwracał uwagi; chwilami go nawet złość porywała, po co ona się patrzy na niego. Chciał tu jej nową jaką złość wyrządzić... Atoli gdy spojrzał uważniej, zdało się łeginowi, że te oczy ciemne, nito mraką dymną osłonięte, mają coś pociągającego... Jednak nie chciał nawet tego przypuścić i drgnął ze złości, że tak myśleć może.

Nie chciał się na nią patrzeć, mimo to pojrząwszy ukradkiem, gdy ją spostrzegł zapłonioną, czuł, że i w nim żywiej krew uderzyła. Lecz zdawało mu się, że tylko *uroki* — i miał ochotę wyrządzić jej psotę jaką, aby popamiętała, a nie rzucała nań *uroków*.

Gdy nad tem przemyśliwał, poznał, że go obraz przekłętej dziewczki prześladowe. On ją widzi tu... to tam... Tfy! *tumany dyable!*... Toż to przecież nasienie jego wroga!

I silił się jej nienawidzić, jak i jego nienawidził już oddawna.

Był nawet czas, że zupełnie o niej zapomniał: obraz tej dziewczki wypadł mu całkiem z pamięci.

Dnia jednego, po dłużej trwającej słoć, wezbrał Prut straszliwie, fale po falach przewalając się, to wirując, pędziły niewstrzymane, unosząc z sobą całe kłody, to świerki nielada objętości; wtedy wzdłuż rzeki — tu, to tam — stali ludzie i wyłapywali zdobycz, jaką im woda z dalekich puszczy nanosiła, a kobiety i małe dzieci zdala patrzyły, jak chłopcy wyciągali z wody materyał leśny.

W jednym tamże miejscu odbiegł Taras za da-

leko od drugich, zapędziwszy się za jakąś ogromną kłodą, którą Prut podrzucając do góry, jakby żerdkę, dalej unosił niepowstrzymany. Jak on był uparty, tak się na tę prawie *zasart*, chcąc ją koniecznie powstrzymać. Ale ciężka to była sprawa. I gdy ją prawie już zawracał do brzegu, stracił równowagę i wpadł do wody w bardzo niebezpieczne miejsce, wirem gwałtownym porwany. Tu pasując się i bijąc rękami o spienione fale, usłyszał niewyraźnie jakby krzyk jakiś przestachu, a potem jakby wołanie czyjeś u brzegu rzeki.

Szamocąc się z gwałtownym prądem wody, gdy mu się nalało do uszu i do oczu, nic nie widział... Mimo to zdało się tonącemu, jakby mu podawano żerdkę... Lecz ogłuszony hukiem wody, nic dalej nie słyszał.

Wyszamotawszy się, wydobył na brzeg, a oszłomiony jeszcze, zmordowany długim trudem, spostrzegł, że niedaleko od niego, w dół rzeki, głowa się jakby dziewczęca nad powierzchnię wychylała wody, w głąb zapadając... Toż pobiegł czempredziej brzegiem, i ujrzał z przestachem prądem wody ciało czyjeś podrzucane... ale ona się ostatkiem sił szamotała... Nie namyślając się dłużej, ktoby to był, skoczył czempredziej na ratunek tonącej... a chwyciwszy nieszczęśliwą, będąc sam już niedawnym trudem obezsilony, poszedł z nią na dno.

Po chwili pokazała się jego głowa w innem miejscu... I zdało się, że czyjeś ramiona mocno go się uczepiły, ciągnąc pod wodę. W miejscu zaś,

gdzie zapadł pieniała się tylko bardziej woda i kręgi dalej posuwały z jej falami, łamiąc się jeden o drugi... Po chwili gdzieś się znów dalej zapieniało — i sznurem, raz w raz rozrywanych, ciągnęła się dalej piana w dół rzeki. Aż nareszcie na płytszem miejscu, gdzie rzeka szeroko była rozlana, zatrzymane zostało ciało o głazy wielkie, sterczące. Lecz nie był to jeszcze topielec, gdyż konwulsyjnie pasował się rękami i nogami, a drugie jakieś ciało martwe, bez życia, wisiało ramionami mocno uczezione młodzieńca.

Z niemałym trudem doczołgał się on do brzegu... Tu przetarł oczy, poglądając jakby pijany. Głowa mu się kręciła... w oczach jeszcze ćmiło; potem odczepił zwłoki dziewczęcy, składając je na boku. I przeraził się...

Poznał, kto ona była.

Oglądał się teraz za ludźmi, by przybyli na pomoc. Lecz tu nie było nikogo w pobliżu. Zaczął zatem sam wyciskać wodę z ust jej rozwartych, to uszu, i czempředzej nacierać ciało. Lecz życia nie mógł obudzić.

Po chwili pojawili się ludzie i wzięli martwą na ręce — z obwisłemi rękami a nogami, z włossem w kupę zbitym, zwieszającym się — i nieśli do chaty, gdzie matka zoczywszy w takim stanie *donię*, uderzyła w ręce przestraszona. A potem płacząc i dogadując dziecku śpiewającym głosem, pełnym pieszczot rodzicielki, zaczęła z pośpiechem ogrzewać własnem ciepłem *donię*.

Nieszczęśliwa po chwili otworzyła oczy. *Maty* śmiejąc się i płacząc z radości, całowała namiętnie *donię*.

Gdy dziewczyna już się mogła podnieść, siliła zebrać myśli i przypomnieć sobie, co to było.

A gdy nieco przypomniała sobie, z pośpiechem i trwożliwą obawą zaczęła pytać, co się z nim stało. Ale *mateńce* nie mogła, czy raczej nie chciała, całej powiedzieć prawdy; zresztą dziewczyna sama nie wiele wiedziała, co tu się stało. Przypominała sobie tylko, że ujrawszy z przestraszem tonącego Tarasa, rozerwała gdzieś *worynię* i wyrwała żerdkę. Chciała ją podać tonącemu... a wszedłszy do wody, zaraz na kraju porwaną została prądem rzeki...

I nie wiedziała, co dalej się stało. Pamiętała tyle tylko, że gdy ją woda chwyciła, w szpony swoje, szamocąc się przestraszona, biła rękami i nogami, zalana, ogłuszona strasliwym szumem, który dotychczas jeszcze zdaje się koło niej huczeć.

Wraz się jeszcze oglądała, czyli niema już tych fal ciężkich — by kamień, a rączych — by zwierz leśny, smagających zaś siłą jakąś nieprzepartą? czyli nie ma już tego szumu, co huczał, rozgłośniej, niż burza, co gwałtem swym a hukiem bił w nią jakby tysiącami młotów, i wszystko dokoła niej przytłumiał.

Dziewczyna siedziała na ławie i o czemś dumiała. A matka, gdy już była pewną, że jej *donia* uratowana, chciałaby teraz ucałować obie ręce owemu *łeginowi* złotemu, którego jej wspomnieli ci,

co wnieśli przed chwilą do chaty martwe jej dziecko. Stara wielką ku niemu czuła wdzięczność, i w pierwszym zapędzie, kiedy pognawszy, przydybała go siedzącego na kamieniu i w dumach jakichś ugrzęzłego, rzuciła się nań i zaczęła całować mu ręce i lice... On jej uratował dziecko!

Młodzian się przestraszył, sam nie wiedząc, co miał czynić, gdy mu starsza kobieta całowała raz po raz rękę, to jedną to drugą. Chciał nieledwie uciekać.

— Ta zmiłujcie się... Co bo czynicie?... Ta dajcie już pokój...

— Mój tatuniu! moja zazulu! moje ty złotko!...

I tu się zaczęła rozpytywać, jak *donia* jej tonęła — i raz w raz przerywała słowa Tarasowi, całując go po rękach.

— Ta, dajcie pokój!... Co wy robicie *maty*?... Tać jabym mógł być waszem dzieckiem...

I tu jakby się słów własnych przeraził.

— O! bądź mojem dzieckiem!... Niechaj ja ci zostanę matką!... Tyś mi życie przywrócił... moja ty zazulu, moje światło, światelko!

— Ta, co *ja* takiego *zrobił*?... Żali miałem stać na brzegu. tać patrzeć, *koły chrystyanyn pohybaje*?... Tabyście wtedy cisnęli kamieniem na takiego chłopca... Żali miałem uciekać, gdy wasza *donia* w wodę zapadała? Tabym był już chyba pies, a nie człowiek. Ano i pies lepszy, niżeli taki człowiek.

Gdy zaś wieczorem wrócił gazda do chaty

z dalszej połoniny, z kąd przywiózł z sobą na hucłku pełne *berbenice*, zdziwił się, co tu się pod niebytność jego stało. A usłyszawszy, ledwo się nie sierdził, po co dziewczka chodziła po nad wodą zabierając się do wyciągania jakiejś kłody głupiej — pływającej?... (gdyż na to biedna musiała postępek swój złożyć). Czyż on sobie nie ma za co przywieźć materyału z lasu?... Lecz gdy się dowiedział, kto ją wyratował, zamyślił się ponuro i nie odzywał się więcej. Wbiwszy wzrok w ziemię, mówił jakby do siebie: »Kara to na mnie, czy co już takiego?« I mróz mu przeszedł po kościach, choć wtedy parno było na dworze.

Gdy jeszcze do tego spostrzegł wdzięczność i zachwycenie kobieciny swojej ku owemu *łeginowi* i słyszał słowa jej, prędkie, gwałtowne, które w szybkości prawie połykała, gdy musiał być świadkiem, jak ona błogosławiła złote tegoż serce: wtedy lice mu się przedłużyło, a wzrok stawał matowy. Cała twarz prawie pozieleniała. A pojrzawszy z pod oka na *zinkę*, nic już nie mówił, tylko chciał odejść. Lecz gdy się dowiedział, że ona w pierwszym impiecie rzuciła się tamtemu na szyję, całując ręce wybawiciela, spłonął cały krwią dodawszy tylko krótko, że baba głupia, krótki ma rozum: bo-ci nie poznała, że przecież biedny a *pidły* chłop będzie ratował *ditynu bohacza*. Przecież taki na spławach nie zarobi za cały tydzień tyle, co tu może dostać za jedną godzinę?...

On go już nagrodzi. Stara chciała więcej jeszcze

mówić, lecz gdy jej powiedział, że kupi łeginowi w celu zapłaty pas szeroki *kilciami* nabijany, jakiego ten nigdy nie nosił, a może do tego i *porosznycię*¹⁾: będzie skończony między nimi rachunek; ona tylko się wypatrzyła, nie śmiejąc atoli mówić więcej i odeszła do swojej roboty, niechętna.

Taras tymczasem dumiał nad tem, co się stało właściwie. Usiłował sobie przypomnieć, co to było wtedy z dziewczyną, kiedy on szamocąc się — tonął, i dlaczego ona się potem topiła... Był wszystek ogłuszony, bo woda mu zaraz wtedy oczy zalała... Jednak, co to było w samej rzeczy?...

I tu z pomroku myśli wysuwało się coś, czego on jasno nie widział... lecz się zdawał domyślać.

Wtedy żar jakiś płomienny w mózgu rozchodził się po całym ciele i paliło go w piersiach. Pulsa jego poruszone dygotały niby struny drgające: czuł mocno jak uderzały, i zdawało mu się, że nawet słyszy, jakby coś w wnętrzu jego biło młotem. Wszak to kobieta nie bierze się do ratowania człowieka?... Czemu tużby tak być miało? On, co innego!... Chłop na to stworzony, bo silniejszy, a do tego zaprawia się na *splawach*... Ale kobieta? ale dziewczyna?... No, to być przecież nie mogło! Lecz myśl ta spokoju mu nie dawała. Poznawał, że czuje mimo to wielki jakiś, dawniej nieznany, pociąg ku tej dziewczynie. Żali ona jedna

¹⁾ *Porosznycia*, rzemienie na krzyż na piersiach wraz z torbką i różkiem na proch.

na świecie była tu dla niego człowiekiem? O! więcej, niżeli człowiekiem!... Lecz oraz przeraził się, gdy sobie zaraz pomyślał, kto zaś on taki?... Nędzarz, znajda, któremu nie mogą zapomnieć, że nie miał ojca... A matka?... Ach! matka... I tu łzami pierwszy raz zapłakał. Czuł teraz, że mu tajało w piersiach i chciał się od tego uwolnić... Ha! dziś nowe na niego napada nieszczęście!... Nowy to cios!...

VI.

Wracając Taras z »Oparskiego gronia« od roboty siana, gdzie był się najął, przechodził koło niektórych zagród po nad wertepami Paradżyna, i tu zdybał wracającą do jednej z tych zagród Ołenę. Zadrgało mu w piersiach; gdyż cała ta przygoda onegdajsza stanęła żywo w myśli młodzieńcowi, który czuł, że nie będzie miał spokoju, póki się od niej samej nie dowie, co chciałby koniecznie wiedzieć.

Pozdrowiwszy zatem dziewczynę zwykłym »Pomahaj Bih«, zapytał się, czy już ona całkiem czuje się przy sile po owej przygodzie nieszczęsnej. Chciał koniecznie zawiązać rozmowę. Ołena spłonęła, i drżąc chciała coś mówić, niby dziękować »Hospodu Bohu« i »dobrym ludziom«; ale nie wiedziała, co ma właściwie powiedzieć. Jednakowoż dała do poznania, że wie, kto ją wyrwał falom wody i topielcom

Prutowym, na któreto wspomnienie bladła, jakby dotychczas jeszcze czyhały na nią »złe« siły.

Taras słowo po słowie wybadać chciał dziewczynę, jakto się stało, że ją woda porwała Prutowa?... Co ona tam robiła właściwie?... Dziewczyna spuściła w dół oczy i nie wiedziała, co ma powiedzieć...

— Ta byli tam ludzie... taj łowili na brzegu, co woda niosła.

I nie wiedziała, co dalej mówić — a Taras stał i czekał... Dziewczyna zaś dodała:

— Tu takie płynęły wam świerki, jakich nie łatwo znajdzie ni na »Keczerze«, ani może w lasach »Forestka«.

— Może być... Ja sam widziałem... Ale przecież to chłopcy wyłapywali?

— Były i kobiety... taj dziewczki, co stały wzdłuż brzegów. Jedne pomagały — inne się patrzyły.

— Ale to być nie może, by tam już nikogo nie było... tać żadnego chłopca, coby ratował dziewczynę, gdy się potknęła?... Przecież ludzie aż tutaj zdala przybyli...

I tak w nią wchodząc coraz więcej, doprowadził do tego, że drżąca przyznała się, iż widząc go zdala tonącego — przyskoczyła, chcąc przyjść w pomoc... Podawała nawet tonącemu żerdkę, porwaną na prędcie — wszedłszy na kraj wody.

Tu mocniej uderzyło w piersiach *łeginowi*.

Choć to przeczuwał, jednak nie chciał do-

puszczać, żeby ona miała dla niego sama się narażać... I krew mu uderzyła do twarzy.

Popatrzył na dziewczę, lecz już innym wzrokiem. I poznał w tej chwili, że ją kocha.

Lecz zaraz jakoby się tego przeraził.

Lice dziewczyny płonęło szczęściem, jakiego nigdy pierwej nie zaznała.

Słońce było już zaszło przed chwilą. Na zachodzie spiętrzone stały jeszcze mgły, na pół czerwone, na poły zaś miedziane.

Dokoła rozchodziła się woń kwiecica — upajająca. Coś przygniatającego było w powietrzu. On czuł, że mu krew raźniej płynie w żyłach, że serce kołace... Mógłby ją i siebie uszczęśliwić, ale wnet mu coś szepnęło, że im nie wolno, gdyż ona córką *bohacza*... a on kto jest taki?

Ta myśl go przygniatała. Skoro zaś wspomniał na jej ojca — mróz przeszedł mu po kościach.

Gdy za długo już byli z sobą, a przechodzący ludzie znacząco na nich spoglądali — musieli się rozejść... Ona wracała do chaty rodzicielskiej, dygocąca nowem szczęściem, dotychczas nieznanem; pełna jednak obawy, kryła to przed ojcem i matką. On zaś postępował zwolna, poglądając ku ziemi i zapytywał się sam siebie, czemu on taki nieszczęśliwy!... ach! czemu dziś nie ma ojca?

— Ha! — pomyślał sobie. Nie żyje już dawno... Nawet go nie pamięta od maleńkości... Musiało to być bardzo dawno, bo matka nawet nigdy o nim nie wspominała. Gdyby żył gdzie, byłby przecież

sobie kiedy o nim przypomniał!... Ale tu zaraz dodał w myśli na pocieszenie swoje: Gdybyż rodzic żył gdzie jeszcze...?! Ależ nie... nie... To nie podobna!... Toby było okropnie, tak opuścić syna!... Takich ojców nie ma na świecie!... A jeśliby on był gdzie daleko?... Jeśliby w obcych przebywał stronach... w dalekim jakim kraju... ano może w wojsku?... To, co on w takim razie winien, iż go nie puszczają do domu?... Wszakci biorą na lat czternaście, a może i więcej?... To przecież długi czas — bardzo długi!... I matka skończyła... a on nie był przytem... Może nawet o tem nie wie?... Różnać niedola chodzi po świecie, ta i po ludziach.

Młodzian się silił, by rodzica swego jakoś usprawiedliwić... Jednak nie łatwo mu to przychodziło... Nie... on się nie mógł łudzić: ojciec jego nie żyje już dawno!

Gdy tak szedł zamyślony *plajem* po nad rzeką — zdało mu się, że Prut nawet bardziej szumiał ponuro, powietrze zaś było jakieś cięższe a parne. Po chwili zbliżył się znany mu pewien człowiek, który rzekł, że go długo szuka, gdyż Ołeny ojciec wrócił z Jasienia węgierskiego, gdzie kupił szeroki pas, gęsto *kilciami*¹⁾ nabijany, a z dobrej skóry... Ten kazał go oddać *łeginowi*: sam bowiem strudzony z drogi, położył się zaraz spać, a jutro przed świtem jeszcze wychodzi do swojego siana; musi się spieszyć, gdyż grożą słoty.

¹⁾ *Kilci*, błyszczące u pasa guziki.

Taras wypatrzył się, jakby słów tych nie rozumiał. Lecz człowiek ów powtórzył, pokazując pas szeroki, czerwony, prawdziwy węgierski, suto ćwiekami błyszczącemi nabijany, i zaczął mu tłómaczyć, że to za dziewczę, którą uratował z wody... Boć mu się za to coś przecież należy?... A ojciec Ołeny — to ci *bohacz*, taj hojny.

— Toż to ma być zapłata?

— Ano tak.

— Ale ja nie chcę żadnej zapłaty!

Tu z gniewem odepchnął podarek, a krew mu w tej chwili podeszła do twarzy.

Chłop się zdziwił, co się dziś stało młodemu, że takim pasem pogardza.

— Toż ty żądasz czego lepszego jeszcze? To już chyba wołu lub szkapy? — dodał drwiąco.

— A kto wam mówił, że ja czego żądam?... Ja wcale nie żądam... Czy ja co zrobił?... Ja dla starego nic nie uczynił. Zaś on mi brat lub swat, żebym dla niego tonął?

— Tażes mu przecie wydobył dziewczkę z wody?

— A gdybyście wy szli, taj widzieli tonącego *chrystyanyna* — czybyście wpierw zażądali zapłaty, a potem szli ratować?...

— Ta gdzieby już tak?... Ta, ot, co ty gadasz?

— A poco chcecie mnie płacić?... Ja nie chcę zapłaty! Tu nie ma za co... Bo ja tu nic nie zrobił.

— Toż nie bierzesz?

— A poco ja mam brać?... Jeśli zapracuję, to

będę nosił nowy, żeby jaki... a jeżeli nie... toć i tak zostanie...

Człowiek ów odszedł, kiwając głową, zdziwiony, że chyba chłopca coś napadło... i pomyślał sobie: »Ot, durna jeszcze głowa!... Nie bierze, gdy dają«.

A Taras pozostał na miejscu, ukąszony by żądłem gadziny oną hojnością ojca Ołeny. Czuł, że jest tylko »najmit«, którego opłacają... któremu za wszystko można zapłacić, nawet za krew jego własną. Gdyby był utonął, lub się rozbił na kamieniach — czyby mu i wtedy również chciano zapłacić?

Miał teraz wielką gorycz w piersiach, a żał do swojego ojca, że go zostawił, jakby na łup tym ludziom, na łup temu człowiekowi, którego zła jakaś dola przeznaczyła na ojca Olenie. On go nie-nawidzi od dziecka, a wie, że i tamten to samo czuje do niego. Dziś chciał go poniżyć zapłatą, chciał go zdeptać w oczach dziewczyny!

Tu się zamyślił, dlaczego przeznaczenie dało go jako ojca tej dziewczynie... Ach! czemu ten człowiek przedziela ich oboje?...

Ale tu budziła się w nim, jakby na złość, siła odporna, która mu spokoju nie dawała.

Zdawało mu się, że czuje nawet rozkosz wewnętrzzną na myśl, gdyby mógł teraz podejść staro-go... Bo on nie godzien, żeby z nim postępowało jako z człowiekiem. Skoro już ma młodego za wyrzutka, za psa *niedobrego*, za zwierza dzikich

borów — niechajże poczuje, iż pies taki kasa, a wilk podejdzie do obcej koszary i wybierze najlepszą sztukę, inne poszarpawszy.

Tak sobie mówił w duchu Taras, i przyszedł nareszcie do przekonania, że on dla starego nie ma żadnych obowiązków, bo to wróg jego, a z wrogiem idzie się na ostro. Krew żywiej zadrgała, czuł nawet, jak mu się teraz cieplej robiło na samą myśl, że podejdzie starego. On musi jeszcze dziewę zbuntować!... Bo czy taki godzien, by miał dobre dziecko?... Ona usiłowała ratować — słaba dziewczyna... a kogo?... ano obcego — gdy rodzic jej byłby go popchnął jeszcze dalej, widząc pasującego się z wirem wody. Ha! jeżeli tak, to między nimi niema miru!

Huculi nie bardzo się zastanawiają nad tem, co godziwe. U nich krew gra gwałtowna, gorąca — i wiedzie człowieka do tego, czegoby lud »na dołyni« tak skoro nie uczynił. A w owych czasach, kiedy żył nasz bohater, było jeszcze gorzej. Wtedy bowiem nie przerzynał gościniec doliny Prutowej jak dzisiaj, ciągnąc się dalej po nad Prutem i Jabłonicą rzeką, aż do samych Węgier; nader słabo przedzierał się w owych czasach promyk światła, szczególnie do kotliny Worochty, która była na uboczu od konnego nawet *plaju* do Węgier. Dziki zwierz i zbóje gospodarowały po lasach ciemnych, otaczających słabo zaludnione sioła, porozrzucane tu to tam po *zworach* rzek, po jarach niedostępnych

lub zapadłych kotlinach. Toż i mieszkańcy Worochty byli dziećmi swojego czasu.

Taras przeto nie mógł się wiele namyślać, a schodząc się z Ołeną uczył ją, jak ma podchodzić starego, by ten się o niczem nie dowiedział, ani nawet *maty*, choć to lepsza kobieta, ale ona nie da rady »swojemu«. Zbije ją i ona musi uledez; sprytu nie ma stara, a tu trzeba chytrłości lisicy i zwinności węża, który się prześliznie przez napiętrzone zawady.

Ołena mieniła się na wspomnienie o ojcu, ale się poddawała *łeginowi*. Ona również wiedziała, że stary połamałby córce kości, gdyby ją przydybał z tym *łeginem*. Chwilami chciała wyznać wszystko mateńce, ale Taras odwiódł ją każdym razem, grożąc, że ją opuści, gdyby go przed nimi zdradziła. Wtedy dziewczyna płacząc zwieszała mu się na szyi, żeby jej nie opuszczał, gdyż ona nie wie, co by wtedy uczyniła: ona temu nie winna, że jej już tak dał *Hospod' Boh*.

Coraz też dalej postępowała miłość tych dwojga. Taras łagodniał nawet przy kochance i był już dobry, jakby dziecko; ale gdy starego zobaczył gdzie mimochodem, poglądali sobie obaj oko w oko. Stary czuł ku niemu większą teraz jeszcze niechęć. Ubodło go nie mało, że ubogi *łegin* przyjąć nie chciał darów takich — i on musiał mu zostać dłużnym... Myśl ta, że został dłużnikiem *łegina*, nie dawała mu pokoju; czuł tem większą złość ku niemu.

— Patrzaj go!... Jaki mi *bohacz*!... Pogardził

pasem — taj taką *porosznycią*! A czy on kiedy miał to?... Co on sobie myśli — ten...? Lecz tu nie mógł dokończyć, bo krew mu uderzyła do twarzy, i czuł się przygnębionym.

Innym znów razem, gdy był pewny, że młody nań nie patrzył, utkwiał wzrok w jego oblicze. Ale westchnawszy ponuro, odwrócił wkrótce twarz, i był już cały dzień jakiś *markotny* a pośepny.

Żali się w nim sumienie budziło?... A może mierzył tylko siłę wroga?... Patrzył bowiem na tegoż plecy szerokie, rozrosłe, podobnie jak jego; gdyż i on sam był nader silnej budowy ciała.

Czasem znów, gdy usłyszał przypadkiem głos Tarasów, choć bardzo zdaleka, wstrząsł się raptem, jakby usłyszał syk gadu *niedobrego*, a wtedy i w dniach następnych własny swój głos przytłumiał z umysłem, nie mogąc krzyknąć dobitniej, gdyż we własnym swoim głosie przywidywało mu się słyszeć jak gdyby głos tamtego... Czy to »złe« dziś czyni harce, iż jemu na głos *łęgina*, zdaje się słyszeć, jakby drugiego siebie?... Czuł, że wtedy siebie nienawidził. Niechby dzisiaj raczej na zawsze ochrypl, niżeliby miał raz po raz słyszeć i w drugim głos ten swój, donośny, ostry, przenikający! Zdało mu się, jakby im dwom w obszernej kotlinie Worochty było za ciasno.

Tymczasem młodzi schodzili się tu to tam... Ołena zaś stała się bardzo ostrożna.

Mimo to nie miarkowali, że stary śledził córkę, gdy chwilami bawiła ona gdzie zadługo, zapytana

zaś potem jeno się rumieniła. Matka łatwiej uwierzyła *doni*, lecz stary postanowił wysledzić, z kim to córka jego się schodzi.

Ale młodzi tego nie wiedzieli.

I tak, gdy pewnego wieczora zeszli się za starą, rozłożystą osiką, a mieli za sobą małe gromadki zrzadka rozbiegłych świerków, nie uważali, że coś rzucało cień nieznaczny to z po za tego, to tamtego świerku.

Cisza była do koła; księżyc stał ogromny, jakby dziś krwią ociekły, zwolna się wznosząc między »Magurą«, a »Rebrowaczem«. W powietrzu dygotało, nito na trwogę i niedolę...

Tak parno było i stęchło, jakby zaraza wisiała w powietrzu.

I oni nawet oboje przeczuwali coś złego: nie wiedzieli bowiem końca swojej miłości. W tej chwili nie spostrzegli, że cień z po za świerków przedłużał się nieznaczny, to gasł czempredzej — i znowu gdzieś migotał, ruchliwszy, niż fale Prutu w żywym blasku słońca.

Nareszcie coś zatrzeszczało, jakby się ktoś przeciskał przez gałęzie... Oni się ogłądnęli... W tem wyskoczył, jak wściekły, ojciec dziewczyny.

— Ha! wy tutaj?... *Pohane* dzieci...

Ołena się przestraszyła i zaczęła na widok ojca uciekać; ale Taras pozostał na miejscu, jak gdyby wroga wyzywał.

To jeszcze bardziej rozzłościło starego, iż wyciągnawszy kół z pobliskiego *worynia*, skoczył jak

zwierz drapieżny na młodzieńca... Ten zaś w mig wyrwał go napastnikowi, zawoławszy tylko:

— Gdyby to nie ojciec Ołeny, ubiłbym... dalibóg! ubiłbym!...

— Ha!... Ojciec... Ołeny?... A co tobie do tego, że on ojciec Ołeny? — Tu mu się rozżarzyły ślepie, by u zajadłego *żerwy*¹⁾. Lecz Taras z wolna tylko odchodził, jakby szydząc z niemocy wroga.

Starego jeszcze bardziej rozdrażniło, że nim jakby pomiatał przeklęty ten *łegin*. Szedł zatem zdala krok w krok za nim, pozierając z podełba, niby pies warczący, tam i siam kołując — i przemyśliwał, jakby się teraz pomścić... Spostrzegłszy zaś, że Taras wstępuje na kładkę zarzuconą na Paradżynie, przyskoczył nagle, chcąc strącić młodzieńca. Lecz ten się zwrócił czempredzej — i chwycili obaj za łby... nie mogąc się zaś utrzymać na chwiejnej kłodzie świerkowej, obaj zapaśnicy zachwiali się — i z wysokiej kładki naraz na dół pospadali w potok, na sterczące w korycie złomy głązów. Z bólu syknął jeden i drugi, gdyż uderzywszy całym ciałem o ostre kamienie ledwo mogli powstać, a stary tylko jęczał. Taras zaś chwyciwszy się za kolano, spostrzegł rozdartą niemałą ranę. W złości zatem chwycił za kamień ciężki, chcąc ubić wroga. Lecz ten zbladł w tej chwili i czempredzej zawołał przerażony:

¹⁾ *Żerwa*, pies zjadliwy.

— Stój!... Nie zabijaj!... Ty... nie wiesz... kogo?...

— Kogo?... Wroga swojego? — I tu się lepiej zamachnął.

— Nie, nie wroga... *Hospody* Boże! I dodał ciszej: — Ja tobie... dałem życie...

I tu nie mógł dokończyć — cały przerażony.

Taras wypatrzył się, a spojrzawszy na wijącego się w bólu, pobladł raptem: bo tu zbliska własne w nim swoje poznał rysy.

Zdało mu się, że się ziemia z pod niego usuwa. Stary powstał jęczący z bólu i przerażenia. I powlókł się chwiejąc, z żebrem złamanem, ze sercem zakrwawionem, przeklinający siebie.

Taras stał na miejscu jakby senny.

Po chwili ocknął się, spojrzał do koła, a w powietrzu dygotała cisza i groza nocy.

Zaczął przecierać oczy.

Nie... To było w samej rzeczy!... On się pasował tu... tać z kim... przed chwilą?... Toż ten człowiek był dla niego...

I tu nie mógł dokończyć.

Na myśl tę czuł, że dostaje zawrotu głowy... Wszystkie dni przeszłe, dni minione przechodziły w jakiś wir szalony, hucząc i szumiąc w głowie.

Ha! kogoż on dziś pokochał?... Tę, co mu była... Na Boga! Toż jak gdyby... ach! krew z krwi tej samej!...

W piersiach go paliło, w głowie czuł straszny zamęt.

I czemu to się stało, że tyle nań teraz spadło nieszczęścia?

Dzieckiem on dziś czyjem?... Myślał, że oszaleje.

Cóż mu teraz pozostaje?... Może-li dziś wracać do sioła między spokojnych ludzi?... Czy może dziś na nią pojrzeć?... Tu zbladł. Przekleństwo i po siedmkroć przekleństwo!

On jej już nigdy nie zobaczy! On jej widzieć nie może! I wzrok przerażony utkwiał w ziemię.

Po chwili ocknął się.

Ha! skoro już napiętnowany od kolebki, gromem doli swej porażony — to dziś miejsce jego nie może być między ludźmi, co mają ojców i mogą kochać.

Jego miejsce dziś tam, gdzie mu nikt w oczy tego nie rzuci!... Uciekaj stąd — uciekaj!

VII.

Byli właśnie na »Keczerze« ¹⁾, do których on przystał. Z baryłki, zrabowanej na Węgrzech żydowi jakimuś, pili panowie *mołodcy* ²⁾ i częstowali nowo do drużyny przyjętego.

Taras pił ha umór... bo paliło go w pier-

¹⁾ *Keczera*, pierwszy wysoki szczyt na drodze między Worochtą a Czarnohorą.

²⁾ *Mołodcami* zwano opryszków, w znaczeniu dobrem.

siach... Chciał dziś wszystko w sobie zatłumić, jakby już zabić w pamięci całą przeszłość, pełną walki o byt i życie w niedoli — chciał zapomnieć, kim jest... A skoro wspomniał na dziewczę, pozostawioną w siole, czuł, że mu zimno się robi: był wtedy blady jak chusta — a potem żal go objął okropny, i chwycił czemprowadę za baryłkę i pił, jak gdyby chciał się na śmierć zapić.

Pijąc łąpczywie, czuł, że żar płynie po żyłach — ale i coraz bardziej mroczy mu się w głowie... Drzewa zaś i postaci towarzyszków chwiać się już zdawały, to przybierać coraz inne kształty — coraz potworniejsze... Nareszcie widział jakieś postaci, nito z wilczemi szczękami, nito z kłami dzika... I tu się dziwił, gdzie jest właściwie?... Po niejakiem czasie gwar tylko jakiś dziki, pomieszany, dochodził do uszu jego... potem wszystko mu pociemniało... do koła rozległ się tylko szum jakiś głuchy, niby klekot, zbliżający się stąd i zowąd — ze wszystkich stron, na koniec obiegł głowę całą, przytłoczył ją jakby kamieniem... i on nic już nie wiedział, co się dalej z nim działo.

A dokoła niego dopijano reszty. Leżały pokodem dzikie postaci, marząc o jutrzejszej wyprawie; oni tu czatowali na Worochtę. Znajdą bowiem schowane u niejednego *bohacza srokowce* i talary białe.

Po niedługiej chwili wszystko już spało.

Taras chrapał, jęcząc chwilami i dziwne wydając głosy... To się zrywał, na poły powstając, lecz wnet upadał — nieprzytomny. Głowa mu ciążyła,

jakby nie jego, a lice miał jakieś czerwone, bijące żarem.

Nad ranem przebudził się ze snu ciężkiego i rozglądał się do koła jakby nieprzytomny, a zoczywszy leżących pokotem, zaczął przecierać oczy... Gdy zaś przypomniał sobie, gdzie jest właściwie, a widząc, że przed chwilą byłoby tylko senne mary... on zaś dzisiaj znów jest tem samem... ach! dzieckiem... tego człowieka... i bratem, czyim być nie powinien: chwycił się za głowę i jakiś czas tak pozostał.

Potem nagle skoczył, wyrzekłszy półgłosem:

— Co się stać miało, to się stało. Takie już było przeznaczenie...

Zaczął się rozglądać między towarzyszami, i poznał dwóch ze sioła swego, którzy dopiero w nocy nadciągnęli do drużyny, i przestraszył się, gdyż mu się zdało, jak gdyby to była na niego zasadzka z Worochty. Iecz od jednego z *mołodców* dowiedział się zaraz że to »swoi«... Mimo że są gazdami w Worochcie, od czasu do czasu chodzą z nimi na »zarobek«. Tu się dziwił Taras, gdyż miał ich zawsze za porządných i spokojnych gazdów... a oni dziś tutaj?

Już i inni ruszać się zaczynali, choć jeszcze słońca nie było na niebie. *Burczymorda*, czarny jak cygan a gruby jak pniak buczyny, kurzył sobie obojętnie *bakun* węgierski — dwóch się jeszcze wyciągało; *watażka* zaś, sążnisty chłop w czarnej suto błyszczącej *kresani* na głowie z piórem *gutura*, opa-

sany pasem szerokim, z węgierska nabijanym srebrnymi guzikami, tłómaczył obok siebie leżącemu, gdzie się teraz udadzą i którędy, gdyż na Worochtę dziś niepodobna, jak zamierzali, skoro tam się coś takiego stało, że ów *legin* do nich przybył... Tam się mieć teraz będą na baczości... *Mołodcom* zaś trzeba takiej chwili, ażeby mogli napisać niepostrzeżeni. Dwaj znów inni z drużyny czyścili lufy strzelb swoich, nad tem się tylko zastanawiając, czy kto tu nie rzucił *uroków* jakich na te rusznice, bo-ci wczoraj jedna z nich ciągle chybiała... a jeżeli tak, należałoby dać *odczynić*...

Taras tymczasem dokoła się rozglądał po tem miejscu. Zrobiwszy parę kroków gąszczem, poznał, że nocleg tu mieli u końca już boru blisko samego szczytu, gdyż wiatr go ostry teraz owiewał...

Wyszedł zatem na sam kopiec, chcąc zobaczyć, gdzie jest właściwie...

A tu szerokim do koła kręgiem roztoczyły się kopce gór za kopcami, wyższe i niższe — okrągłe, podłużne, w szacie świeżej, porannej, w całej krasie ciemnego szafiru, to jasnej zieleni, inne znów czarne, by sadza. On na Keczerze! Zapatrzył się niby marząc, że świat tu taki uroczy, gdy oni rozbijać i mordować będą!...

Tam na północy poznał długie pasmo »Diłu«, to »Ryzy«, i dalej *grónie* za *gróniami* aż do »Kitiłówki« ¹⁾...

¹⁾ Wszystkie tu, jak i w całej powieści wzmiankowane szczyty, grzbiety, rozwory potoków i kotliny głębokich gór, malowane są

On tam niegdyś pierwsze stawiał kroki na poloninach! Tam był z *bouharami*... A dzisiaj?... Cóż więc dzisiaj?... Żali te *bouhary* bardziej go kochały, niżeli dzisiejsi jego towarzysze?... Nie... On tam pracował i narażał się za drugich, niedorostkiem jeszcze będąc — a oni czem byli dla niego?... Tu chmura osiadła mu na skroni... Ha! skoro nie uważali go za równego sobie, ani chcieli wiedzieć, że w nim taka sama płynie krew czerwona, tak samo jemu, jak im, głód doskwiera: to teraz się dowiedzą!...

Złowrogie łyskawice mignęły mu w oczach.

Wrócił do towarzyszy, co się już zbierali, by rzucić legowisko nocne i dalej pociągnąć.

Ponieważ uradzono, że napad na *bohaczy* Worochteńskich dzisiejszy musi być odwołany, owi dwaj gazdowie wrócili zatem nazad do sioła, do chat swoich, by dalej tam gazdować, wespół z innymi, i podglądać, gdzieby chowano ukryte *srokowce* a *banki*¹⁾.

Taras popatrzył na nich, znajomych sobie ze wsi, i miał minę, jakby chciał im plunąć w oczy: on dziś zbójcą i będzie rozbijał, ale nie wraca do swoich, by z nimi jadł z jednej misy i pijał na *chrystynach* a *pochoronkach*, potem zaś oddawał ich w ręce tym, co im nóż przyłożą do gardła. A prze-

z natury, z własnych spostrzeżeń autora, który był we wszystkich kreślonych tu miejscach, a nieraz i po kilka razy, w różnych porach.

¹⁾ *Banka*, pieniądz grubszy u huculów.

cież oni mieli rodziców, co również gazdowali i zostawili im, że mają dzisiaj żyć z czego?...

I znów gęsta chmura osiadła mu na licu.

Nie chcąc atoli nad tem dłużej myśleć, machnął ręką i zwrócił się ku druhom, którzy już ruszali.

— Hej!... Tam się zieleni na górze połonina »Łabeski«, a dalej bez *mraki* dziś kopiec »Kukułu«! ¹⁾... Wkrótce tam-ci już będziemy — rzekł watażka do Tarasa, który rozpocznie teraz pochód z nowymi towarzyszami.

— Jenó zejdzimy gęstym borem w przełęcz, taj dalej w ciemny bór do góry, na »Łabieską«. Ty tam nie *był* jeszcze, nieboże?

— Tu na »Keczerze« wam byłem... Tam jeszcze nie... Co tam będzie w tych borach, *bat'ku*?

— Ho! ho!... Tać obaczysz... Za »Kukułem« jeszcze gorzej aż do samej »Czarnohory«. Tam-ci puszcza, choć oko wykol!... A od niedźwiedzi, taj rysiów... już bo się roi. Przyjdzie ci, chłopie, nie z jednym się spotkać... Ty się boisz, młody sokole?

— Ta, gdzieby ja wam się bał tego!... *Toj staryj* ²⁾ mnie-ci znany... Alboż się z nim już nie zdybywałem?... Jako chłopię jeszcze niewielkie takem przywitał kamieniem *mysia* na »Ryzach«, że się bestya ruszyła za mną.

¹⁾ *Kukuł*, szczyt wyższy od *Keczery* w drodze na *Czarnohorę*.

²⁾ *Toj staryj*, tak zwą tu czasem niedźwiedzia.

— Ale i *toj małyj* ¹⁾ *neshirszyj*, dodał watażka. Tam wyją po nocach całe ich stada... A w zimie, to-ci w zimie na *Wasyla* lub na *Widorszczy* ²⁾ gdy to zacznie uganiać za wilczycą, toż *mołodcom* chyba wyłazić na skałę, gdzieby było takie *berdo* ³⁾, iżby *zweryna* nie wyszła już do góry... Albo oddaj swoje kości na wieczerzę dla bestyi!... Lato, to *durnycia*, ale zima — to dla nas *suszenie*. Lecz i ona jakoś przejdzie. I cóżeś się tak *zażuryw*?

— Ej, nie, bat'ku... Ale ja *dumaju*, że tam muszą być *matki* ⁴⁾ w tych borach... a może *wołkuny* ⁵⁾?

Tu się wpatrzył z obawą w starego.

— Ta pewnie, że są... Tam jest wszelaka bieda.

Zaraz się zbliżył ów stary z siwą brodą *mołodec*, a rad, że może swoje dodać, zaczął opowiadać, jakto razu jednego jakiś dziad całe wesele zaklął w »Jabłonicy«, że zawyli i pognali już *wołkunami* w puszcze aż za »Forestkiem«. I *mołodyj* biegł *wołkunem*, ta-ci starosta i družbowie. Długie takie lata biegali po puszczach koło Czarnohory, a były noce, że napadali na sioła ludzkie.

— Taj zostali już do śmierci jako wilkołaki? — zapytał Taras.

¹⁾ *Toj małyj*, znaczy wilka.

²⁾ *Na Wasyla*, znaczy u huculów: Na Nowy rok (ruski). *Widorszczy*, t. j. Jordan.

³⁾ *Berdo*, przepaść skalista.

⁴⁾ *Matki*, rodzaj boginek, opiekujących się zwierzętami leśnymi.

⁵⁾ *Wołkuny*, tosamo, co *wilkołaki*, t. j. ludzie zakłęci w wilki.

— Ano nie... Gdy odbyli swoją pokutę, że na weselu psami dziada poszczuli, ten-ci dnia jednego już się zmiłował, słysząc w tych borach owo wycie a skomlenie żałościwe, toż już wypowiedział *takie słowo*, że ich *odkłał*, i był-ci koniec ich męce.

— No, i zostali-ż nazad ludźmi?

— Tać nie inaczej, chłopie. Jeno *muzyka po-hybał*. Bo-ci go potem, gdy się oddalił za daleko od czeredy, ubili strzelcy — niby wilka... ale gdy przybyli, był-ci to człowiek... taj były i *skrypki* pod skórą wilczą, bo jeszcze do połowy wilkiem był obrosły.

Tak gwarząc przebrnęli gąszcze ciemne świerków, kłody leżące, poobalane burzą a piorunami, i błota leśne rozmiękłe, choć słonko dogrzewało, dalej drapali się gęstym borem na »Łabieską«.

Już... tuj... tuj dochodzą, drzewina zdaje się być rzadsza i niższa, będzie więc zaraz grzbiet... Ale nie... tam wyżej inne się gromadki smereczyny wychylają, a tam znów inne... to przedzielone niby *halawkami*... Czyż nie będzie temu końca?... Ale raz już przecież muszą wyjść na zieloną połoninę...

Ot, na wysokim zboczu widać już pasące się *drobięta*, a koło nich pastuchy czarne, osmolone wichrami, z długimi prawie do pasa kudły, z obawą poglądające na *panów mołodców*, z którymi muszą się jakoś znosić, by im z trzodami żyć tu dozwolono.

Watażka kiwnął na jednego, który posłuszny zaraz zbiegł z góry. Tu zapytał go się, czyli tam niema gazdy którego ze sioła, żeby długim swym

językiem zaniósł zaraz do swoich, gdzie krążą teraz *panowie młodcy*?...

A skoro otrzymał odpowiedź przychylną, kazał mu tylko przynieść *budzów* kilka i *małajów*, by się zaopatrzyć w dalszą drogę.

Gdy zaś pastuch chciał się zaklinać, że to dawno im wyszło, wziął go po swojemu niby zlekka za kudły i nieco potermosiwszy, dodał tylko:

— Nie powiesz mi tego po raz drugi! Bo ci szyję utnę, chłopie, a łeb twój za to *wołosie* tam zawieszę, gdzie ci już dziki ptak dziobać będzie ślepie... Rozumiesz? Resztę zaś z ciebie rozniosą *wilcy*.

A gdy go puścił, przelekły parobczak, czerwony na smagławej swej twarzy ze strachu i wysilenia, nachylił się do ziemi, i zaraz się *kopnął* do góry, chwając, niby piany, na prawo, to na lewo.

— No, teraz chłopcy... ten nam już przyniesie.

Taras wypatrzył się na rozkazującego watażkę, i poznał, że tu dziś niczego im nie zabraknie, skoro oni są na połoninach, jakby u siebie.

Mołodcy tymczasem drapali się na prawo, kędy ściekało źródło »Paradżyna« — ono z pod »Łabieski«. Taras, zmęczony drogą, pił pożądliwie. A gdy się napił, zapytał, czy to ten sam Paradżyn, co tam we Worochcie wpada do Prutu?

— Ten sam, synu — zaczął zaraz pouczać ów stary między nimi *mołodec* z siwą brodą a siwym włosom. Jedno-ci *żereło*, co widzisz tu z pod »Łabieski«, a drugie tam na innym groniu »pid Ber-

dom«; te-ci tworzą jeden »Paradżyn«, co już płynie we Worochcie wyżej tam wertepem głębokim, — a drugi wasz Paradżyn ma znowu dwa *żereła*: jedno z pod »Bukowinki« na granicy węgierskiej, taj drugie z pod »Worochtenki«.

I tu się rozgadał, jako był skory do gwarzenia.

Lecz tymczasem przyszedł ze *stai* ¹⁾ pastuch ze starym *watahą* ²⁾, niosąc *budze* okrągłe i *małaje*, ile tylko zmogli.

Mołodcy wzięli od nich, a napchawszy swoje *besahy* i torby, zabrali się dalej.

Wyszli nieco w górę na sam wierzch podłużnej »Łabieski«, a idąc zielonym groniem (grzbieciem), mieli po prawej i lewej ręce roztaczające się fale kopców niższych^o pasm, pokrytych zielonością jaśniejszą, to ciemniejszą borów nieschodzonych.

Długim tym grzbieciem przechodzili, posuwając się, to zielenią połonin, to niby klombikami świerków niskopiennych, owiewani ostrzejszemi prądami powietrza na większej teraz wysokości.

Tak weszli na grzbiet »Kukułu«, który wyżej się wznosił z pasznicą swoją połoniną.

Tu na stronie północnej pasły się zrzadka owce, lecz *bouharów* nie było gdzieś nawet widać. Mołodcy też ich nie szukali, nie chcąc nawet tyłu

¹⁾ *Staja*, szałas większy, niżeli *kołyba*; w *stai* odbywa się robota około nabiału.

²⁾ *Wataha*, starszy nad pastuchami w szałasie.

mieć świadków, któredy się obecnie udają. Rzucawszy tylko okiem w siną dal ku północy, gdzie pasma za pasmami falowały w świetle jasnego słońca, jakby drobnym przyprószone pyłem, gubiąc się w oddaleniu w jakąś siną, to białawą zamrocz, pozostawili przed sobą kopiec okrągły »Kukułu« i skręcili się ciszkiem chyłkiem na zielone zbocze południowe ku stronie węgierskiej.

Tu od południa zarysowało się, jakby już było bliskie, pasmo wysokie »Czarnohory«. »Howerla« ¹⁾ stała, by ogromna kopuła, a ku niej poglądał olbrzymi garb węgierskiego »Pietrosulu«, zwrócony, rzekłbyś, licem swoim do tej olbrzymki. Taras spojrział na nie, i zagrało mu w żyłach. Jakiś uroczysty przestrach zdjął go na widok tych kolosów.

Zszedłszy teraz szybko zielonem tem zboczem, wchodzili w puszcę pełną grozy, ciągnącą się wzdłuż węgierskiej już granicy aż do samej »Czarnohory«.

Tu musieli się przebijać przez gąszcz olbrzymich paproci i zielska, rozsiadłego pod stopami świerków, rozsyłających na wszystkie strony korzenie swe długie, z ziemi sterczące. Miejscami wchodzili w trzęsawiska zimne, omszone, z dogniwającymi kłodami — tak, iż mogli się tylko posuwać z wielkiem wytężeniem, obawiając się co chwila gadzin i węzów.

¹⁾ *Howerla*, najwyższy szczyt *Czarnohory*. Cały łańcuch *czarnohorski*, najwyższy we wschodnich Karpatach, obchodził autor trzy razy w życiu swoim, i był na każdym jego szczycie.

Gdy się dalej posunęli, taka stanęła im przed oczy pustynia leśna, zimna, niegościnna, pełna grozy, że mrowie przechodziło po kościach; a za nic w świecie nocą tutaj nie odważyliby się nawet oni — zbóje.

Mówiono bowiem, że w nocy nietylko stadami chodzą tu wilki, ale słyszać od czasu do czasu wycie upiorów leśnych i *wołkunów*.

Przechodząc takie miejsca, gdzie słońce nigdy nie zajrzało, gdzie drzewa stały od wieków, te same — w niemej grozie, oddech wstrzymywali i szli prędko, nie oglądając się po za siebie, bo tu nader było niebezpiecznie.

Mimo że dzień był, wiatr jakiś »niedobry«, chociaż uśpiony, ruszać się zdawał... Oni posuwali się szybko, drżąc na sam odgłos kroków swoich własnych.

Czasami coś śmignęło — ryś to, czy może nie ryś?... Może to co gorszego?

Gdy już przeszli te samotne miejsca, gdzie noga nie stała człowieka, przyszło im teraz przechodzić omijane nawet przez zbójców »Krywyi Hegi«, bo to droga nader jest uciążliwą ¹⁾.

Drapali się tutaj do góry po zsuwającym zwi-rze, ostrym, krzemiennym, i nazad zsuwali, chwytając rękami za gałęzie, to za wystające korzenie świerków, szarym mchem pokrytych, chorobliwych.

¹⁾ Całą drogę, którą tu w tej dziczy przebywają opryszki w powieści, przebył autor w r. 1884, a droga na »Krywyi Hegi« należy do najuciążliwszych.

A gdy wyszli zziajani, czerwoni od krwi nabiegłej do twarzy, na *groń* jaki, musieli znów zsuwać się w dół, kalecząc ręce i nogi.

I tak dalej posuwali się — raz w dół, to znów w górę. Chwilami śmignął żbik na drzewie, utkwivszy w nich ślepie, to się nagotował ryś z po za gałęzi jakoby do skoku, by wydrzeć któremu z nich oczy, a chwycić się ostro pazurami; lecz gdy tu dał w mgnieniu oka któryś z młodców ognia, zwierz znikł gdzieś w gąszczy.

W tej dzikiej połaci, nieprzystępnej, w jednym z parowów, gdzie się usuwały usypiska krzemienne, mieli swoje schronisko z dylów a łubu świerkowego.

Lecz nie weszli tam zaraz, jako ludzie do swego mieszkania, jeno jeszcze z daleka zaświstał *wataška*, na co wnet mu inny głos ztamtąd podobnie odpowiedział.

Byli tam już dwaj inni, co chodzili do »*Jasienia*«¹⁾ na zwiady, i czekali na nich. Teraz radzić będą, czy ma być temi dniami wyprawa ich na »Jasień« węgierski, czy też na Worochtę?

Tymczasem ze dwa dni potrwa ich wypoczynek.

Taras poznał, że nowe dlań się dziś rozpoczyna życie, pełne trudów i niebezpieczeństwa. On dziś tak trudów potrzebował, tak szukał niebezpieczeństw, ażeby umilkła w głębi piersi wrzawa.

¹⁾ *Jasień* czyli *Körösmőzo*, miejscina w głębokich górach węgierska, zaraz za *Jablonicą*.

VIII.

Kiedy Taras z drużyną po dzikich kroczył ostępach, leżał tymczasem ojciec Ołeny bezsilny, z żebrzem złamanem. Stary *znachor*, znany w całej okolicy, *zamówił* ranę, natarł maścią z ziół zbieranych o *swojej* już *godzinie* na dalekich górach, może nawet na »Szpyciach«¹⁾ czarnohorskich, *zamówił* i okadził, nareszcie orzekł, że będzie dobrze.

Ołena nie mogła się ojcu na oczy pokazać, bowiem w gniew wpadał, jak i na starą, która dziewczki nie umiała upilnować. Cóрка zalewała się łzami, a matka ręce jeno załamywała.

Chory się nie odzywał... chwilami tylko westchnął, a wtedy stawiała mu w oczach niewiasta znana niegdyś przed laty...

I widział ją, jak jeszcze dziewą będąc niewinną, z chaty ojcowskiej, Mikuliczyńskiej, wybiegała po nad Prut, oczekując niecierpliwie *sławów*, z którymi on miał nadpłynąć. Z jakąż to radością witała go wtedy, szczęściem zarumieniona!... A już w takim razie *sław* jego, przybity do brzegu, nie zdążył dalej za drugim. Czy on ją zwodził?...

Wszak i jemu serce biło, gdy *sław* dochodził tam... do miejsca dobrze znanego?... Ach nieraz on z Worochty swojej przekradając się wieczorem

¹⁾ *Szpyci*, część skalista Czarnohory, sławna ze złomów dziwnego kształtu kamieni i z ziół, jakie tu huculi zbierają.

płatami »Rebrowacz« i »Leśniów«, krótszą drogą, nie mówiąc nic ojcu swemu, około północy dopadł ukochanej, która na znak dany ciszką się z chaty wymykała.

Tak byli ze sobą długie chwile. Rankiem zaś kiedy słońko wzeszło, widziano już go w Worochcie. A gdy ojciec łajał zapytując, za czem wstał tak rano, tłumaczył się młodzian, że chodził, to na jaką *carynę*¹⁾, czy tam nie ma dziś szkody, to za siekierą, którą był gdzieś pożyczył, za tem to owem, i na wszystko znalazł sposób. Czyż on był wtedy innym?

Chciałby o tem teraz zapomnieć; lecz obrazy dawno zamierzchłe raz wraz powstawały w duszy, uparte... Nie mógł się od nich uwolnić.

A co on potem uczynił?... Jak to się stało, że porzucił wierną sobie kochankę?... Ha! to już takie było przeznaczenie.

Przynajmniej silił się w siebie wmówić: bo co on temu winien, że mu doła inną podłożyła? W złą godzinę zobaczył pierwszą, w złą również godzinę pojawiła się druga.

I jęknął z bólu, bo go w tej chwili silniej rana w boku zaboląła... Lecz na zapytanie przestraszonej kobiety, czyliby mu w czem nie pomogła, nic nie odpowiedział, jeno pozierał ponuro. Dziwił się, że dziś mu te myśli przychodzą, skoro o

¹⁾ *Carynami* zwą tu piękne łączki ogrodzone *woryniem*.

nich dawno już zapomniał... gdy jej nawet już nie ma między żyjącymi...

W tej chwili stanęła mu przed oczyma postać opuszczonej, ale już... tutaj, jakby w Worochcie, choć on jej tu nigdy nie widział. Mówiono tylko, że ona tu, przed laty, w ostatniej nędzy, z dzieckiem małym przywędrowała... I to go ukłuło niby żądłem gadziny... Czuł teraz, że jest występny.

Hospod' Boh zesłał nań dziś karę, że jego własna krew przeciw niemu powstaje.

Ale kto temu winien, jeżeli nie on sam?... Alboż nie opuścił sieroty niby psa? O psie lepsze mają staranie, niżeli on miał o nim. Teraz też niczego nie może się od niego spodziewać.

Tak się dręcząc, zasnął po chwili... Sen miał ciężki... zrywał się co chwila. Lecz rano przebudzony, był spokojniejszy... i rana zaczęła się zasklepiać. Znahor mówił, że żebro się zrośnie.

I tak z dnia na dzień przychodził do zdrowia.

Czy to hucułowi pierwszozna, mieć jedno a nawet dwa żebra złamane?... Bywały nie takie przypadki, a jakoś się człowiek wylizał. U hucuła kości twarde: Połamiesz je, to ci się nazad zrosną!

Nikt już nie wątpił, że stary żyć będzie. Aż tu naraz przyszły wieści, że Taras przystał do opryszków... Stary się przeraził... Przestrach i groza położenia przejęły go mrozem. Teraz był pewny, że Taras znalazłszy towarzyszków, pomści się za całą swoją niedolę, za dni długie bez opieki, za swoje sieroctwo i sieroctwo matki.

Przybędzie dziś, spali mu chatę, wytłucze *marzynę*, jego samego zabije a córkę porwie!

Przerażony tem, zerwał się z łoża, niepomny na rany, a forsując się, gotował niby do obrony...

Broń swoją zaczął naprawiać, to drzwi chaty lepiej zaopatrzyć próbował, obejście zaś całe ogrozić chciał ostrokołem. Atoli wszystko to było za mało; czuł sam że nie da rady... Błagał sąsiadów, żeby mu dopomogli.

Ale nic nie zrobiwszy, okropnie strudzony, zmordowany, padał na łożo... Rana wtedy się otworzyła... on czuł, jak go krew parzy... to dochodzi raz wraz do lica... a tętnice na głos biją.

Skoro zaś przyszła noc, majaczył nawet.

Obie kobiety stały przestraszone: gdyż w gorączce nieprzytomny zrywał się i kazał drzwi podważać kołem, wołając, że już... tuj... nadchodzą... Wszak ich słyszy... tam... za oknem... jak się zmawiają... Oni chcą chatę podpalić!

»Uciekajmy!« krzyknął — i zerwawszy z łoża ni dał się wstrzymać obu niewiastom.

Rzucając się dopadł drzwi, lecz tu legł charcząc tylko; jednak o tyle osłabł, że go już obie kobiety przełęknięte ledwo zaciągnąć mogły do łoża. Czas niejaki chrapał gwałtownie... a sen jego był niepewny, dziki, urywany. Wydawał z piersi chwilami syk jakiś niezwykły, to skomlenie spazmatyczne. Nagle się zerwał i zapatrzył jakby w jeden kąt izby, z szeroko rozwartą żrenicą, szepcząc głosem zatrwożonym:

»Ty... tutaj?... Wszakżeś... dawno umarła?...
A więc ztamtąd można przychodzić?«

I trząśł się jakby z wielkiego zimna.

Potem zawołał błagająco: »Ale ja... ja... nie
wiedział... gdyś umierała... Na moją duszę!...
Wierz mi!... Byłbym przyszedł... Nie wierzysz?...
Tyś mi dawniej zawsze wierzyła...«

A obie kobiety stały przerażone, ni *maty* ni
donia nie mogły zrozumieć, coby to znaczyło, do
kogo to on tak się odzywa?...

Wtem zwrócił się do żony mówiąc:

»Ale... ty... jej... nie wierz... To nie ona...
Ty myślisz, że to ona — ta sama?... Cha... cha...
cha... Ta już nie żyje... A to »złe« przybrało jej
postać... *Taka* teraz tylko *póra*... wierz mi, że to
póra... i ot... patrz!... już się rozwiało... Prawda,
że tego już nie ma?... Ona już drugi raz nie przyj-
dzie... Bo co ja jej winien!... Że ty tutaj jesteś?...
Czy ja cię mam wygnać z chaty... Ale nie bój
się... Ja ciebie nie wygonię... Co?... Ja z nią?...
Ta ja z nią tu żyć nie będę... Brr... jak mi zi-
mno!... Nogi mi ziębną... Mróz podchodzi do gó-
ry... Zapalcie tu *watrę*!... Ach! prędszej! prędszej!...
Bo ja zmarznę... Mróz przejmuje mi kości... Czy
tam się wicher już zrywa na dworze?... Ach! jaki
mroźny... Brr«.

I padł na łoże, a kurcze go wnet chwyciły.
Oddech zdawał się buchać z ust wracą parą, a pot-
lepkie, kropliste, wychodził mu na lice.

Wołał teraz, że mu zimno, twarz mu pozie-

leniała oczy zaś jakby głębiej zapadły. Po chwili znów się zapytywał, czemu tak parno i w piecu tyle ognia?... Pogasić czempredziej!... Lecz ognia tu wcale nie było... gdyż nie palono jeszcze. Mimo to, on nie wierzył, i kłął, że dziś żonie wierzyć nie można. A może to ona z tamtą w zмовie?... Ha! dziś obie się zмовiły na niego?

I tu krzyknął spazmatycznie:

— Ja go nie chcę!... On nie mój! Kto wam mówił, że ten *łegin*... do mnie należy?... *Prysiaj Bohu*, że on mnie tylko chce zabić!... Ale ojca... Kto już ojca swojego zabija!

Tu Ołena głośniej łkać zaczęła. Wzięła to do siebie nieszczęśliwa, że przez nią ojciec dziś pasuje się ze śmiercią.

Ona dziś ojca swego zabiła! Tamten obcy... nie ma dla niego obowiązków, ale ona — córka, dziecko własne... i dziś przez nią... Padła teraz na kolana i zaczęła z wielkim pośpiechem mówić pacieź, w strachu a przerażeniu. Ale stary wypatrzył się na klęczącą i zcicha wyszepnął, gdy mu już oczy jakimś posępnym mętem zachodziły:

— Tu klęczą nademną?... Jać... już... umarli?... Ha! złożono do trumny?... Jeszcze... poczekajcie!... Ja wam... mówię... że jeszcze... nie zapalajcie gromnicy... O! patrzcie...

Nagle zaczął chrapać. Po chwili znów się zbudził, by zaraz zasnąć.

I tak coraz gorzej już było.

IX.

Wzdłuż *plaju* Prutowego ciągnął się pochód długi — żałobny. Po dalekich górach i borach rozchodził się posępny lament *trembit*.

Na przodzie szedł dziad biały jak gołąb z wielkim krzyżem, za nim niesiono dwie chorągwie, sprowadzone może aż z Mikuliczyna. Nareszcie kroczył *świaszczennyk* przybyły z daleka.

Świaszczennyk piał psalmy pogrzebowe, a *djak* mu wtórował.

Za trumną ciągnęły płaczki najęte, rozgłośnym krzykiem a płaczem zawodzące w niebogłósy.

Biegły z włosiem rozpuszczonym, z szatami rozwianemi.

A między niemi w środku wlokła się, słaniając, mdlejąca wdowa, podtrzymywana przez drugie i nieprzytomna dziś prawie jej *donia*.

Chwilami, gdy do sił przychodziła, klaskała stara w ręce w rozpacz, głośno zawodząc.

— I czemuś mnie opuścił, gazdo?... Ja teraz biedna sieroteńka... bez tatunia swojego... sama pozostanę w chacie... I kto teraz na chleb boży będzie zarabiał? kto doglądał *marzyny*?... Kto zbierał sianko na *carynkach* dla *chudobiny*? Oj, biedne wy teraz, krowiny moje, taj *drobięta*! *Sierotenki*, jak i ja... bez gazdy mojego... Kto wam sianka za drabinkę założy? Kto was napoi? kto na wiosnę odda na połoninę?...

Dalej wraz rozgłośny wrzask a płacz podniosły wszystkie niewiasty, zagłuszywszy śpiewający lament wdowy.

Ona zaś na ich ramiona się kładła, na pół prawie niesiona.

Ołena znów szła w przerażeniu. Chwilami jej się zdawało, jakoby to był sen straszny, kilkudniowy: bo niepodobna, żeby to wszystko stało się rzeczywiście... Dni te były tak okropne, że od zmysłów odchodziła. Chwilami chwytła się za głowę, jakby ta pęknąć miała.

Dziewczyna szła na pół we śnie, nie wiedząc, co się z nią dziś dzieje.

Ludu się roіło dużo, bo to *pochoron bohacza*, a *świaszczennyk* przybył aż z Mikuliczuna, i będzie nielada stypa. Działwa prawie z całej Worochty biegła dokoła.

Zwłoki chowano, przy głoszonych psalmach przez księdza, przy lamencie *trembit* i wrzasku płaczek najętych, wśród udziału wielkiej ciżby, na tym samym cmentarzu, gdzie niegdyś przed laty w dół spuszczano wśród ciszy wieczoru zwłoki nieszczęśliwej, bez księdza, bez rojów ludu. Ani jedna wtedy *trembita* nie zagrała, nikt z ludzi płaczu nie podniósł — ale duszę tę cichą, pokutującą już na ziemi, przyjął Przedwieczny na łono swoje, gdy dzisiejszy pogrzeb poniósł człowieka, wyrwanego wśród grzechów, zbytującego nad własną krwią swoją, deptającego najświętsze uczucia ojca, człowieka, który zeszedł ze świata przez to, co sam sobie przygotował.

Może te dwie dusze, mężczyzny i niewiasty, które tu na ziemi odbiegły od siebie, zejdą się na tamtym świecie?... A gdy się zejdą, co powiedzą sobie?... Żali będzie przebaczenie?

Ale za ciężką była na ziemi winna silniejszego.

Gdy już *mertwca* pochowano i rozpoczęła się stypa przy wielkiej ciżbie uczestników, zawodziła jeszcze wdowa, raz wraz wybuchając płaczem, wśród gwaru i łoskotu biesiadujących, wyliczając przymioty i cnoty zmarłego, żałom zaś potakiwały senne oczy pijących a płaczących.

Z mis się dymiło, stawianych jedna po drugiej, a taki nastał zamęt z lamentu niewiast, gwaru gazdów, z łoskotu łyżek rzuconych i wrzasku bawiącej się dziatwy, że nic już rozróżnić nie można było.

Olena zaś schowała się do komory, oczy zapłakane utkwivszy w ziemię, i nie mogła dotychczas pojąć, co to się stało i dlaczego dziś tyle zważyło się na nią niedoli.

Gdy matka szukając jej tutaj ją przydybała, ocknęła się *donia* i obie zaczęły zawodzić.

— Oj, oj, wołała *donia*, pocoś mnie *maty* na świat wydała?... Lepiejby ojciec był zrobił, gdyby dziecku swojemu kamień uwiązał u szyi, taj wrzucił w wodę!... A teraz on przezemnie... *pohybał!*

I chwyciła się za głowę.

— Co ty temu winna?..., wołała *maty*. Ty biedna dziś sierotka? Taże ty nie wiedziała, że twój ojciec taki hardy — i oni obaj takie sobie byli

wrogi!... O bodajbyś nigdy nie była poznała tego *łęgina!*... A teraz przez niego ja straciłam gazdę swojego, ty *nienia*¹⁾. Tu wybuchła nowym płaczem.

— Oj, *maty*, moja *maty*, czemu ja tonąc wtedy nie zapadła już dalej w głębię ciemną?... Czemu mnie wyratowano na niedolę moją i naszą? Teraz ci ojciec mój nie żyje — a on... I tu z wielkim płaczem wyjąkała: Ach!... on... pognał... gdzie go... »złe« poniosło...

— Ha! niech się tam rozbije na debrach i skałach! Niechaj go zatłumią upiory! — dodała matka.

— I gdzież on, *maty* moja, pognał?

Tu trząść się zaczęła, szukając w oczach matki odpowiedzi.

— A co nam do niego!... Niechby już tam *pohybał!* niechby go *zattumiło!*

Teraz się głośniejszy rozległ płacz *doni*, a *maty* jej wtórowała.

Z izby zaś dochodził coraz bardziej już przygłuszony odgłos pijących i sennych, a zdala psy wyły posępnie i wołały puchacze.

I wiatr już się ruszył.

X.

Od chwili, gdy Taras przystał do drużyny, nie miał spokoju. Skoro mu tylko w oczach sta-

¹⁾ *Nienio*, ojca tak zwa w dolinie Prutu i Bystrzycy.

nęła Ołena, wtedy chciał myśl wszelką w sobie stłumić... Im większy czekał go gdzieś trud, im większe zapasy, chociażby i nad siły człowiecze, tem były mu milsze.

W takich razach drapał się z hyżością kota po zboczach, złomami głazów najeżonych, gdy jego towarzysze ciężko tylko robiąc pierściami wyłazili do góry. Pot ciekł mu ciurkiem ze skroni, z oblicza biła nito łuna gorąca, *soroczka* lepła do ciała, ale on drapał się — niepowstrzymany, by wspomnień przeszłości żadnych nie dopuszczać!

Ale Ołena raz wraz wracała w myśli, wtedy rozpacz go porywała... Chciałby upić się niejako i oszaleć! Krwawił naumyślnie i kaleczył w złości stopy o ostre złomy głazów, o krzemieniste usypiska; nie wymijał suchych kończastych gałęzi, gdy mu lały w oczy i twarz siekły... Ha! niechajby mu już oczy wykłuły, skoro te nie dojrzały, kto *ona* dla niego. Czy to woda płynęła mu w żyłach, a nie krew gorąca — pokrewna, że się w chwilach takich nie zbuntowała.

Mołodcy kręcili się, myszkując dokoła po bliższych jarach i wertepach obok Worochty, żądając od Tarasa, by ich wiódł na sioło swoje. Wszak im pokaże, gdzie *srokowce* w której chacie, gdzie koralale i pasy szerokie, srebrnemi *kiłciami* nabijane.

Ale *łegin* zawsze coś znalazł by odwieść drugich od zamiaru: to się pojawiać mieli o takim

czasie *terebylulki*¹⁾), to *milicya*, albo znów dzień inny był jakiś niby niedobry, feralny, lub też słyszał, że miało się odbywać wesele u jakiegoś *bohacza*, a wtedy połowa wsi nie śpi, lecz jest na nogach, pijąc i hulając. W takim więc razie wpadłaby *drużyna* w matnię.

Mołodcy siedzili się na Tarasa, lecz musieli jeszcze przeczekać. Czekano na onych dwóch gazdów Worochteńskich.

Przybył nareszcie jeden z nich, przyniósłszy wiadomość, że teraz nie można... gdyż we wsi stypa, która może się i dłużej pociągnie, zmarło się bowiem *bohaczowi*, a wdowa nie żałuje baryłek wódki ni sutych *małajów*.

Tu coś uderzyło Tarasa, który drżącym zapytał głosem:

— Jaka tam dzisiaj stypa?... Co to był za *bohacz*?...

I nie mógł gaździe spojrzeć w oczy.

— Jaka-ci stypa?... Ta niby ty nie wiesz, kogoś to tak *oprawił*?

Tu krew wszystka uszła z lica Tarasowi i zdało mu się, że coś mu oczy zasłoniło. Lecz gazda dodał spokojnie:

— Tać już ziemię gryzie, coś go chciał mieć sobie teściem.

I wykrzywił twarz złośliwym uśmiechem.

¹⁾ Tak przezywają tu często straż, wietrzącą za kontrabandą tytoniu.

W tej chwili Taras nie śmiał dalej pytać: zrobiło mu się zimno.

— Oj, tak, tak, druchy, prawili tamten, gdy którego z nas śmierć powali, ledwo znajdą deski gdzie jakie stare, by grzeszne ciało nie wrzucić prosto do ziemi na żer robactwu, a czterech chłopów zaniosą człowieka bez *psalterów*, bez lamentu płaczek, żaden *pop* nie zapieje mu, tać nie odczyta modłów. Ale gdy-ci *taki* zemrze, połowa wsi wyjdzie na *pochoron*, płaczek dostanie całe roje, które człowiekowi cześć oddadzą płaczem wielkim — zawodzącym, a *pop* przyjedzie aż z Mikuliczyna, albo i z Jasienia. Czasem aż dwóch na koniach sprowadzą; ci już tyle wygłoszą śpiewu a *psalterów*, że zmarły prędzej się otrząsie z grzechów swoich — i dusza łatwiej będzie zbawiona. A nam jak-ci biedniejszym?...

Tu się ozwał *watażka*:

— Nam... może-ci kruki, może orły wydziobią ślepie, taj wilcy rozniosą kości nasze białe... Ha! możeć i człowiek zawiśnie na haku, wiatrom oddany, gdy mu ścisną gardło... Lecz wierzaj, chłopie, że mimo to jednakowa dola dla jednych, jak i dla drugich. Tak-ci samo nie ciepło w wygodnej trumnie, niesionej wśród hałasu płaczek, taj *psalterów* śpiewanych, jak i porzuconym gdzie na tuchem usypisku, albo żółtej niepoczesnej glinie. Wierz mi, że ciebie tak samo nie zaboli, gdy szarpać zaczną mięso twoje wilcy, jak i nie wyciągniesz

się rozkosznie, okryty *szmaciem*¹⁾ białem na wygodnej ławie, przy blasku gromnicy a szepcie pacierzy za twoją duszę.

W ten sposób dalej rozmawiano, Taras zaś tylko jednym był obrazem zajęty... Widział tego trupa, a siebie jako jego zabójcę. Nie słyszał śmiechów ni gwaru otaczających go... jemu się tylko zdało, jakby aż tu, do tej dziczy dochodził głos onych *psalterów* a płacze kobiet zawodzących... Zdało mu się, że go teraz dosięga przekleństwo wdowy i córki, którą uczynił dziś sierotą!

XI.

Taras obchodził z młodcami parowy i puszcze ciągnące się u stóp Czarnohory; zapuszczano się również wertepami i gęstwą borów w dzikie okolice ponad obu Czeremoszami.

Nieraz zachodzili nawet z ostrożnością lisa w okolice Kut i Kosowa, gdzie nocą napadano na samotne chaty, odbiegłe od miasta. Tylko do Worochty nie chciał w żaden sposób wchodzić nieśczęsny *mołodec*. Upierał się tu zawsze, że nie pójdzie, choćby go miano poćwiertować... Na to musieli się zgodzić druhowie. Sami zatem szli; mieli do tego innych gazdów ze sioła. On wtedy zosta-

¹⁾ *Szmacie*, bielizna.

wał sam — zdala od nich, w jakim wertepie... Chwile takie bywały dla niego najcięższymi.

Wtedy stawiała mu w oczach cała przeszłość, wtedy pojawiał się i trup zabitego! On cierpiał karę już na ziemi.

Nieraz musiała się *drużyna* rozbiegać przed strażą i *stryżakami*¹⁾, drapiąc się jak kozy po zjeżonych złomami głazów zboczach, lub kryjąc się na drzewa — w gęszcze gałęzi niby rysie.

Wówczas potrzeba było dłuższego czasu, zanim się *drużyna* nazad odnalazła, a to już gdzieindziej, zdala od miejsca rozproszenia.

Rozbiegali się tak nieraz — i zdało już się, że zapadli gdzieś, jakby kamień w wodę, zwłaszcza gdy którego z drużyny pochwyciła władza, i po krótkim sądzie doraźnym wysadziła wysoko na hak, na postrach innym! Wtedy już zdawało się spokojniejszym mieszkańcom, że łotrzyków wyłapano, wybito — reszta zaś po kaźniach wygnała.

Lecz po kilku miesiącach znów się pojawili gdzieś aż na »Gorganach«, na »Doboszczance«, lub dalekiej »Sywuli« i w kilka dni odwiedzali znowu okolice po nad szerszym, połączonym już Czere-moszem.

Zachodzili i na węgierskie strony. Dolina *Cisy Czarnej* była im dobrze znana, a i wertepy nad *Białą* nie były dla nich obce. Widzieli nawet wśród gór szerokiego wieńca rozbiegłą kotlinę, gdzie się

¹⁾ Tak zwali huculi żołnierzy, mających obstrzyżone włosy.

Biała Cisa łączy z *Czarną*, by dalej już płynąć zgodnie w połączeniu, tworząc mniej samotną, bezludną dolinę, zasianą liczniejszymi chaty.

Na tych wszystkich wyprawach był z nimi Taras, i tu okazał swoją śmiałość i siłę.

Nieraz się odważał tam, gdzieby się drugi nie odważył — narażając na śmierć oczywistą.

Polubili go też druhowie i uważali za najlepszego z drużyny; wszyscy byli za nim, choć on niejednemu dawał się we znaki. Ale kto pokazuje siłę a wyższość nad drugimi, ten zniewoli i niechętnych sobie, rodząc dokoła siebie postrach.

Zdawałoby się, że Taras mógł w owych chwilach o wszystkim zapomnieć.

Wśród niebezpieczeństw, gdy jakby pijany rzucał się na oślep, zapominając o wszystkim, wtedy był tylko chwilą dnia zajęty; ale gdy noc nadchodziła, stawała mu przed oczy przeszłość niedawna. Zdało mu się wtedy, że znany mu głos gdzieś jęczy... Tak... naprawdę! słyszeć go, jakby u wchodu do ich kryjówki, zlepionej ze złomów kamieni. Chwilami znów błąka się niby cień pomiędzy jodły i świerki. Były nawet nocy, w których widział Taras naprawdę dwoje ślepi krwią ociekłych, wychylających się jakby z po za starej potwornej jakiej drzewiny, wtedy zanurzał głowę głębiej w *petak*...¹⁾. Tu chciałby się cały wepchać

¹⁾ *Petak*, brunatnego koloru sierak, który huculi zgrabnie zarzucają na ramiona.

w posłanie ze mchu a szpilek świerkowych... Ale to nie pomagało: gdyż wtedy zdało mu się, że czuje coraz bliżej oddech jakiś gorący, uparty.

A gdy zmęczony przestrachem, blady od wzdziadeł, doczekał się rana, zdało mu się, że już się podnieść nie może... Coś go jakby przygniatało do ziemi.

Innemi razy, w nocach pogodnych, jasnem światłem gwiazd oświetlonych, miewał sny insze. Wówczas widział się w Worochcie — z nią razem. Ona go się zapytywała, kędy bywał tak długo... czy ją już opuścił?... Zwieszała mu się nawet na szyi, błagając, ażeby jej nie opuszczał. On wtedy się trwożył, żeby znowu zkadinał nie nadszedł stary... A gdy ten się zaraz pojawił, wypatrzył się Taras, że stary żyje?... Wszak mu się zdawało, jakoby już był zabit? Ale tu mu stary przerwał, złośliwym rzuciwszy wzrokiem, wołając:

— Nie myśl, chłopie, żebym ja już nie powstał... Zrzuciłeś mnie z kładki, taj złamałeś dwa żebra... Patrzaj, jak one wystają?... Ale ja teraz tobie lepiej połamie...

I tu się zabierał do niego. W tej chwili chciał Taras uciekać, lecz ruszyć się nie zdołał, jakby do miejsca przykuty. Ciemno mu się zrobiło w oczach... czuł tylko ściskającą go za gardło dłoń jakąś ogromną i zimną, a czując coraz mocniejsze za gardziel duszenie, szamocąc się budził — i widział się tylko między *mołodcami* wśród dziczy borów.

Takie mary dręczyły Tarasa. Widywał trupa

we śnie, widywał i na jawie. Nietylko działało się to w nocy, lecz i w dni ponure, kiedy na niebie wisały chmury czarne, posepne, zdając się coraz bardziej przybliżyć do ziemi.

XII.

W chacie na Worochcie, gdzie samotne dwie pozostały niewiasty, nie były również dni jasne, ni nocy spokojne.

Ołenie nieraz się we śnie pokazywał ojciec, a był jakiś blady i chmurny. Skoro się zaś do niego zbliżyła, radując, że on żyje, wtedy odpychał ją i zabierał się jakby miał zamiar przekląć *donię*.

Stara, choć się modliła, choć dawała hojnie na światło do Mikuliczyńskiej cerkwi, mimo to spokoju nie miała. Zdawało się ciągle, że coś tam po nocach tłucze się w sieni, to w komorze.

Chwilami słyszała nawet ciche szepty, nito duszy pokutującej. Ona poznała, że *to* żąda, by dała na odprawę do cerkwi. Zanosila zatem grosz po groszu na służbę Bożą; lecz spokoju jak nie było, tak nie było.

Gospodarstwo zaś bez gazdy szło jak najgorzej; *marzyna* w połowie wyzdychała, a co zostało, pożarły wilki lub niedźwiedzie. Czasami nawet ryś się zakradł do koszary, a wtedy najokropniejsze było tam spustoszenie; zwierz krwi chciwy wpijał się pazurami w wymię krowiny, tej to tamtej, prze-

skakując od jednej do drugiej sztuki — i w kilku minutach leżały same tylko trupy na koszarze.

Caryny zaś, dogniwającemi otoczone *woryniami*, bywały przed kośbą jeszcze spasane i tratowane. Siana nie było dostatecznej ilości dla pozostałej na zimę *chudoby*.

Wszystko mówiło, że tu brakuje gazdy.

Wdowa przeto szukała *czetawika* dla swej *doni sierotenki*, by gospodarstwo całkiem nie zmarniało.

Atoli Ołena ani słyszeć o tem nie chciała. Ciągłe jeno *tużyła* za *łeginem*, choć wiedziała, że on przepadł dla niej na zawsze i dla sioła rodzinnego.

Ona jedna nie sądziła go być zabójcą ojca swojego. Wiedziała przecież, że stary stał się przyczyną śmierci swojej. Gdyby był nie opuszczał łoża, skoro dochodził już do wyzdrowienia, gdyby nie był rzucał się na wszystkie strony, gotując jakby do boju z *łeginem*, któremu ani w myśli było napadać na ich chatę spokojną — nie byłoby tego nieszczęścia.

Ołena nigdy nie przypuszała, iżby Taras miał napadać na ich chatę; udał się w opryszki: bo co miał biedak robić, skoro nań wszystko dybało! Dziewczyna wiedziała, że ojciec surowy i gniewny — toż mu tego nie daruje. Tłómaczyła *łeginą* jak mogła; ale była pewną, że dola ich oboje na wieki już rozdzieliła. Ojciec nie miałby spokoju w grobie, gdyby oni się tu jeszcze kiedy zeszli razem.

Sumowała też tylko i żal swój podawała niebu.

Ale *maty* inaczej sądziła. Ona bądź-co-bądź

potrzebowała w domu gazdy: nie mogła przecież *doni* pozostawić samej. Wiedziała, że same dwie kobiety nie dadzą rady gospodarstwu, a dziewczka na to jest przecież, by była wydana.

Długo wzbraniała się *donia*; ale gdy się zeszli kumowie starej, to krewni, uradzono, że dziewczkę należy mimo jej woli wydać.

Wyszukano zatem gazdy; nastąpiły dziewosłębny — zapito sprawę. Nic płacze dziewczki nie pomogły... Niechętną powiedziano do cerkwi.

Matka była zadowolona, że chata otrzymała gazdę. Będzie już teraz komu pilnować pracy zmarłego rodzica, jeżeli co z tego pozostało.

Ale Ołena mimo to *sumowała* za tamtym, a szukając samotności, ciche łzy jeno wylewała. To jątrzyło jej *czetowika*.

Były z tego swary i wyrzuty.

Nareszcznie rozzłoszczony brał się do kostura. To jeszcze pogorszyło sprawę.

I nie było pożycia między nimi.

Stara broniła swej *doni*, a choć łagodnej była natury, stawiała, by wilczyca za swoim szczenięciem. Wtedy i zięć podnosił pięści na *teszczę*.

I był harmider w chacie.

Czasami znów córka czyniła matce wyrzuty, że ją dała na zatrącenie człowiekowi, który nie był dla niej, ani ona dla niego.

A wtedy były wyrzuty i swary.

Była to wojna jakoby we troje.

XIII.

Widmo zaś starego nie dawało spokoju Tarasowi; coraz było gorzej. Gdy dziś *drużyna* zbliżyła się gdzie do wsi jakiej, udawał się znękany *mołodec* do bab, znanych szeroko lekarek, przebrany, niby ze wsi dalekiej parobek, szukając lekarstwa na swoje utrapienia. Zachodził do największych czarownic, które już miały *swoje sposoby* i takie *zaklęcia*, że mogły *zażegnać*, by jaką *Biedę*, włóczącą się po świecie.

Lecz nie pomagały ni słowa skuteczne, ni wary kipiące: umarły jawił się ciemnej nocy. Żadna go *granica* nie zatrzymywała; na swojej — jak na węgierskiej stronie, był jakby u siebie.

Dnia pewnego dowiedział się Taras od starych ludzi, że w »Jasieniu na Węgrzech jest *świaszczennyk*, który-ci mędrszy od wszystkich bab i znachorów. Ten zna *takie* pacierze i *takie* umie *zaklęcia*, że choćby jak upartą *zażegna* marę. Wszak-ci w Jabłonicy tyle dawniej było upiorów, z *żywego* to z *umarłego*, że wyli po całych nocach; a gdy jaka choroba w siole grasowała, to się roiło tego, że straszno było wychylić się z chaty, gdyż zaraz człowieka co *podwiał*, taj *podciął* rzuciwszy na łożę. Ale skoro tylko sprowadzono tego świaszczennika, gdy on odmówił swoje *psaltery* i pokropił miejsca *niesamowite*, odrazu jakby uciał: wszystko-gdzieś pognało w dalekie skały a puszcze — i

zrzadka tylko pokazywał się tam jeszcze w nocy upiór jaki. Ten-ci *poś* ma większe *sposoby* nad wszystkie znachory a czarownice!

Taras przemyślał dzisiaj nad tem, jakby to się udać do Jasienia — do tego człowieka. Bał się zaś iść tam *płatem* Prutowym a prostą drogą na Jabłonicę do Węgier w *zwór Cisy Czarnej*, lecz raczej wolał przekradać się wertepami pustynią leśną, by nie zdybywać jakich dawniej znajomych mu twarzy. Sam do tego nie mógł mieć ochoty; samotności musiał unikać: było mu wtedy zawsze jakoś *nieswojsko*. »Złe« na takiego większą ma moc.

Razu też jednego, gdy byli rozłożeni w głębokiej kotlinie »Gadżyny« — w onej dzikiej, z ponurym gwarem a głośnym szumem potoków, u stóp złomami potwornemi głazów napiętrzonych »Szpyciów« — pojawił się żyd on czarny, dobrze im znany, z Jasienia.

Żyd ów, muskularnej budowy, mający raczej pozór zbója, niżeli handlarza, był w konszachtach z młodcami. Chwilami nawet czynił z nimi wyprawy, a wtedy były one najzyskowniejsze, gdyż wskazywał im miejsca, gdzie obłów będzie obfitszym.

Postać swoją w takich razach zmieniał, a nawet oblicze przybierał inne. Raz chodził z drużyną nito stary węgierski chłop z siwą brodą, przyprószoną prochem wapiennym, a wtedy i włos jego czarny stawał się srebrzystym; lice zaś żyda pomarszczone, brązowe, było w takiej chwili czerwone, jak gdyby ze spiekłemi rumieńcami... Ale to

było tylko maskaradą. W innych wyprawach grał rolę *prawego* cygana, w którym to razie używał sadzy, i był już kuso ubrany, obdarty jak włóczęga z ich szatry, a wzrok jego błyszczał, jak u kota czarnego.

W Jasieniu był zaś sobie handlarzem. Można też było u niego dostać przeróżnych rzeczy: więc szat bogatych i pasów, łańcuchów złotych i szubkunich a niedźwiedzich. Mówiono, że podczas niebytności swojej w mieście, chodził po dworach różnych na stronie tak swojej, jak *lackiej* — i nabywał te wszystkie śliczności.

Handel tego rodzaju bardzo musiał być zyskownym.

Pojawił się zatem i teraz w ustronnej kotlinie »Gadżyny«. Widać, że musiał dobrze znać wertepy i przesmy, skoro aż tutaj zachodził, jak do swojej komory.

Nad dziką kotliną, wąską, widłową, otoczoną stromemi stoki, spadało ze strony zachodniej zbocze onych »Szpyciów« czarnohorskich.

Złomy skał tu się jeżyły, jedne dziwniejsze od drugich. Stały niby nagrobki cmentarne, to jakoby kaplice z dawnych wieków zawalone — inne znów niby sterczące mury zamków zaczarowanych lub kościołów zapadłych w gruzy. Wszystkie one piętrzyły się sztorcem do góry, pionowo, to ukośnie, wisząc na tem zboczu, jakby już każdej chwili spaść miały.

Budowały je upiory skalne, a może i inne

jakie straszniejsze jeszcze potęgi... dość, że »złe« musiało tu być w sprawie; gdyż patrzącego na nie chwytął obłęd — i niejednego gazdę, co próbował iść górą tego pasma, *groniem* jego podłużnym, tak obłąkały te potwory skalne, że-ci zaszedł na takie miejsce, z którego już w dół się stoczył, na uciechę upiorów, na życie ludzkie cychających.

Lecz młodcy mniej się tego bali: oni i tak ze »złem« w górach i lasach musieli być w zmo-wie — a i żyd dawno już duszę swoją zapisał dyabłu, dlatego też tak mu się szczęściło.

Z po za jednej z onych skał, z dobrze ukrytej kryjówki, wyniósł watażka łańcuchy jakieś złote, to srebrne klamry... Były tam i futra bobrowe, i żółte safianowe buty, ałłasowe chałaty żydowskie, bindy z perłami, to *porosznycie* nabijane *kilciami* huculskie.

Tu odbywały się teraz targi.

Żyd, patrząc na to wszystko, potrącał nogą, z pogardą kupującego, owe chałaty i buty a stare bronie; lecz pozierając na bindy z perłami a błyszczące złoto łańcuchów, świecił oczyma, by kot nocą, zdając się je pożerać.

— Ta, co ty będziesz porzucał się naszą pracą, *nechreście*?... Patrzaj go!... kożuchy mu złe — taj *hatłasy*?

Na takie zagadnienie watażki, dwóch z młodców spojrzało na żyda wyzywająco, a jeden miał minę jakby go za kark chciał chwycić i pożarto-

wać z *nechrestem*. Lecz żyd się wcale tem nie zatrwożył i *charkotał* jeszcze głośniej.

Widać, że jemu z nimi była nie pierwszyczna.

A gdy go jeden z młodców pchnął w bok, nie oglądając się na watażkę, dał mu żyd rozzłoszczony w twarz. Powstała bójka między obydwo-
ma; lecz tu żyd obalił chłopą, a trzymając go pod sobą dodał tylko:

— Widzisz, Kuryło, że ja się ciebie nie boję. Co mi zrobisz, jeżeli ci teraz połamię żebra?

Drudzy zaś młodcy, patrząc na to, śmiali się tylko.

Tamten nie mogąc się wydobyć z pod olbrzymiego żyda, szamotał się z początku — wkrótce zaczął śpiewać na inną nutę.

— *Pomyśluj! czelownicze?*... Ta, na co tu się będziesz rozbijał? Czyli nie mamy iść już na kogo?

— Tak mów, a nie zaczepiaj żyda! Bo wiesz, że ja się ciebie nie boję... Ja się was wszystkich tu nie boję!

— Oho! — na to się rozsierdził Taras zawoławszy:

— Co on prawić?... Czy my to zniesiem?... Ano, chłopcy! pożartujem z *psiawiarą?*...

— Aj! waj!... Bardzo ja się was boję!... Czy ja nie wiem, że gdybyście tu dziś ubili żyda, pozdychalibyście wszyscy z głodu... Nu, może te łańcuchy będziesz dziś żarł jeden z drugim... Nu, może guzy te twarde gryźć będziesz jako orzechy?... Jeżeli chcesz jeden z drugim, ubierz się

w żółte buty safianowe, weź futro na siebie po szlachcicu albo *hattas* żydowski — taj przybądź do Jasienia!... Może cię kto weźmie za szlachcica — taj może za żyda?... Hm!

Argumenta tego rodzaju doszły do przekonania *mołodców*, i targowali się już przyzwoiciej.

Chwilami tylko jeszcze ciskał żyd towar jaki z pogardą, lecz wnet postępował w cenie, i na tem się skończyło, że chował łańcuch złoty i bindę bogatą, to jakieś metalowe kawałki od rusznic i pistoletów, a wyliczał srokowce; do tego obiecywał dla nich sprowadzić tu baryłkę okowity... Doda jeszcze dwie strzelby i parę nowych pistoletów: bo i resztę zakupił. Ale teraz ze sobą nie weźmie tyle *drańcia*... jeno niektóre rzeczy, które wraz z nim poniesie Taras, co miał sprawę do owego Jasienia. Młodzian chciał udać się do tego znachora-świaszczennyka, co to umie *zażegnać biedę*, jak nikt inny.

Taras stanął zatem gotowy do drogi. Żyd się wypatrzył, bo takiego łęgina z włosiem długim do pasa, w *rzemieniach* tak ostro nabijanych, mogliby wziąć tam łącno za zbója — i zakuć czempredziej w dyby: tożby się i żydowi przy nim wreszcie dostało.

Musiał się zatem nieco przebrać do miasta Taras.

I tak nasamprzód przystąpił *Burczymorda*, wprawny w rzucaniu toporem, a zebrawszy w garść długi i gęsty włos na głowie łęgina, skręcił go w jeden pęk, przywiązał łyckiem w górze do ko-

naru świerkowego, a odstąpiwszy kroków parę, jakci śmignie toporem, tak w mig przeciął kudły, że połowa niby kosa niewieścia zawisła na drzewie, a reszta upadła równym kręgiem na czoło młodzieńcowi¹⁾. Przystrojenie podobne zmieniło zaraz wejrzenie całe *mołodca*. Przebrał się do tego w białszą bieliznę, jaką mieli w zapasie — wziął stary chłopski *serdak* i *besahy* na plecy, że już wyglądał by chłop ze sioła — i obaj teraz wyszli z kotliny Gadżyńskiej, *mołodec* z żydem.

A choć żyd znał lepiej przesmyki, niżeli Taras, jednak zawsze tak uważał, ażeby sam był każdym razem za plecami *mołodca*, mając go na oku. Kupiec porządny przecież nie mógł ufać człowiekowi z *drużyny*, u którego zrabować i zabić rzecz niezbyt trudna.

Krocząc tak wzdłuż zbocza tego, gdzie raz po raz sterczały nad nimi coraz dziwniejsze skał potwory, coraz dziksze i coraz dziwniej poszarpane, zagrażające im co chwila stoczyć się na głowy, znaleźli wreszcie miejsce takie, gdzie się już mogli wydrapać, niby dwa koty. Tu żyd drapiąc się między złomami głazów a sapiąc ciężko, pozierał z ukosa, żeby go gdzie *mołodec* z boku nie pchnął i w dół nie strącił; ten zaś spinał się zatrwożony, by go tu w jakim miejscu obłęd nie chwycił i

¹⁾ W podobny sposób ucinali dawniej włosy huculi, nie znając nożyczek; lecz często nie tykali ich wcale od samego urodzenia. I dziś jeszcze w niektórych bardziej zapadłych okolicach noszą włosy po pas prawie, wcale nie przystrzygając.

Błud się nie *czepił* — a gdy poglądał na żyda, zdało mu się, że idzie z *tym*, co dusze ze sobą ludzkie zabiera.

Obaj poglądali na siebie z trwogą. Mołodec zegnał się chwilami z przestrachu, a żyd także jakieś tam swoje odmawiał pacierze.

Gdy już wyszli na *groń Szpyciów*, po prawej ręce roztoczyła się przed ich oczyma welka kotlina »Dancerza«, zagłębiona w łańcuch czarnohorski — wysoki, otoczona półkřęgiem jego szczytów.

Byli już przynajmniej radzi, że najgorsze przebyli miejsce, i obaj zostali żywi.

Szli tak *groniem*, a ze strachem pozierali na poniżej ciągnące się *Rebra* skaliste, niby odrośle równoległe z głównem pasmem »Szpyciów« w kotlinie »Dancerza«. Rebra te wybudowały upiory skalne, a może i sam »czarny«, bo nikt na nie wyleźć nie zdołał, a ktoby się odważył, zostawiłby już kości swoje u podnóża pasma *niesamowitego*.

Z kotliny tej, czerniejącej płatami kosodrzewiny a bielejącej gdzieniegdzie śniegiem, wiał przestrach i groza, a posepnie poglądały otaczające ją szerokim półkřęgiem, »*Poziżewsko*« pogarbione, toż »*Dancerz*« ano »*Didowyj kamiń*«, stary, siwy, najezony głazami; na końcu zaś pasma, którem kroczyli, mieli za sobą niby basztę ogromną graniczną, »*Homul*« samotny.

Z pośpiechem postępowali pasmem tem podłużnem, coraz dalej, aż im tu przyszło schodzić nieco w dół, koło jeziora, przejmującego każdego

człowieka grozą, zagłębionego w »Dancerzowej« kotlinie.

Niesamowite ono jezioro, a czarne od zielska *niedobrego* na swoim łonie! A kto wie, czy to ziel-sko?... To z jakiegoś nasienia dyabelskiego! Boże broń! rzucić tu jaki kamyk i podrażnić tem wodę *niedobrą*: wtedy powstałaby taka burza z gradobiciem, taj z gromami, żeby człek nie uszedł już ztąd cały!

Wędrowcy też obaj mijali je ze strachem. Mołodec zęgnął się z przestachem, ale i żyd, choć śmiały, postępował blady jak ściana, a oczy jego patrzyły na chłopą niby szklanne, źrenice zaś rozszerzały mu się szeroko.

Lecz jakoś szczęśliwie minawszy je, wyszli z kotliny na nieco wyższą przełęcz między »Szpy-ciami« a »Didowym kaminem« — i tak opuścili kotlinę »Dancerza« ze strasznem tem jeziorem i *niesamowitemi* »Rebrami«.

Byli już na drodze ku Węgrom.

Gdy przekroczą teraz łańcuch czarnohorski w poprzek, staną już na uboczu jego węgierskiem. Dalej zaś tam powiedzie już żyd wertepami, gdyż na połoninach wołoskie są *bouhary* w niemałej nie-rasz liczbie, a to lud drapieżny; ich zaś tylko dwóch, i to wzajem sobie nie ufających.

Przeszli czempredzej przełęcz — i byli już na uboczu węgierskiem.

Tu roztoczyło się przed nimi szerokie i dalekie panorama długich pasm węgierskich i zboczy

czarnych, by sadza, to szarawych od żwiru kamien-
nego. Na prawo i na lewo piętrzyły się tu i tam
kopce za kopcami, *gronie* wznoszące się ponad *gro-
nie* — *zwory* i parowy: dzicz nieschodzona! A miej-
scami połyskiwały w głębokich dolinkach potoki,
śpieszące aż do *Cisy*.

W taką dzicz mają teraz ohaj wstępować wza-
jemnie sobie nie ufający!

Dopóki schodzili z głównego grzbietu *Czar-
nohory*, mchem i trawą porośłego, mieli siebie na
widoku; lecz gdy się zapuścili w gąszcz jarów i
borów, obojgu wędrowcom zrobiło się jakoś *nie-
swojsko*.

Żyd patrzył z ukosa na towarzysza i odciągał
się co chwila, by tegoż puszczać zawsze przed sie-
bie, a *mołodec* obracał się po za siebie, świdrując
wzrokiem *nechresta*, jakby się obawiał, by go ten
nie pchnął gdzie nożem.

Żydowi wydawało się to podejrzanem, instyn-
ktowo zatem macał coś w zanadrzu... Wtedy *mo-
łodec* przystawał, jakby szukał, gdzieby się oprzeć
mógł o drzewo jakie grubsze. I tak patrzali sobie
oko w oko. A wtedy *mołodcowi* świeciły oczy by
u rysia, a żydowi rozszerzała się żrenica i ślepie
zielone zdawało się na wierzch wyłazić.

Tymczasem czarne chmury zakrywały niebo,
i wiatr się ruszył *niedobry*. To im więcej jeszcze
przydawało strachu.

Nareszcie *mołodec* nie uważał, jak żyd gdzieś
pozostał w tyle. Nagle usłyszał huk za sobą wy-

strzału, oglądnał się... a tuż zakurzył się dymek szarawy.

— Ha ten szelma chciał go zabić! Iecz kulka trafiła w drzewo.

W jednej chwili skoczył *mołodec*, a żyd przestraszony zaczął czempredzej uciekać, wyrzekłszy się wszystkiego, co dla niego niósł towarzysz podróży.

I słyhać tylko było łomot gałęzi, coraz bardziej już się oddalający. Taras chciałby go zgonić, i za taką niespodziankę przynajmniej połamać żydowi żebra; lecz poznawszy, że on tylko umyka, splunął z pogardą, zdziwiony, poco mu było wybierać się z *nechrestem*.

Spojrzawszy na szmaty i drobiazgi, które niósł dla żyda, przystanął...

— Ta poco mi tego *drańcia*?... Czy ja z tem idę handlować — tać na jaki *szacher*?... Czy ja żyd?

I rzucił z pogardą, co dźwigał, na ziemię. A były tam rzemienie i pasy, atłas, i inny towar zrabowany, który miał się rozchodzić między ludzi za grosz dobrze zarobiony.

— Tfy! Ano *skazywsia*?... Chciał mnie ubić... Ta coby ze mnie ściągnął?

Następnie przychodziło mu na myśl, czy też żydzisko jego samego o zamiar podobny nie podejrzywał...

— Tfy! Czy człowiek łakomy jego łańcuchów — taj jego *szmacia*?... Człowiek dziś szedł,

by mu *odżegnano* niedolę jego, a on-ci podejrzynał o takie łakomstwo...

Lecz tu przypomniał sobie, że teraz sam pozostał w tej gąszczu, i ciemne obrazy zaczęły znów wychylać się w duszy jego znękanej. Czemprowadź więc przedzierał się gęstwina i wchodził w parowy sobie nieznane, szarpany gałęziami, które go tu i ówdzie do krwi kąsały, a miejscami zdało mu się, że między świerkami świeciły ślepie wilcze...

W innem znów miejscu ryś się zaczynał, zabierając jakby do skoku, lecz spostrzegłszy oczy człowieka nań zwrócone i lufę wymierzona pistoletu, uchodził czemprowadź z konaru na konar.

Atoli gdy się już miało ku wieczorowi, nogi pod Tarasem drżały — a wtedy chwilami ćmiło mu się w oczach. Lecz myśl uparta, raz wraz wracała w głowie jego.

— Ojciec — nie ojciec?... Ten przecież nie rzuca matki na świat?... nie opuszcza sieroty?... Co? swoją krew?... Czy *ja* jego *prosił*, żeby mi dawał życie?... Na moją niedolę?... Dawszy zaś, nogą odtrącił, gorzej niżeli psa — taj unikałby wściekłego zwierza. A ja byłem jeszcze małym dzieckiem, samemu sobie pozostawionem, na takie życie *soba-cze!*... On mi wtedy nawet wydzierał z ust jadło... jeżeli mi kto z litości chciał rzucić, jak się rzuca psu!... On mi zabił matkę!... Tać jakby już dybał i na moje życie... Czy ja miał-ci jaki dla niego obowiązek?...

I tu ugrzązł w myślach. Potem jakby się ocknął:

— *Hospody Boże!*... To okropnie!... Naco ta krew moja od niego się poczęła — od niego, który był mi wrogiem tylko?!...

Jeszcze chciałby w siebie wmówić, że to może nie był jego rodzic... Ależ bo wszystko... ten sam wzrost, podobny wyraz lica... głos nawet chwilami jakby ten sam?... I wzdrygnął się, bo tuż znowu stanął... jak żywy, przed oczyma jego... W tej chwili powstał jakiś wicher *niedobry*.

Mołodec uchodził czempredzej — a *tamto*, jakby się do niego teraz zbliżało coraz bardziej, coraz śpieszniej... Taki zaś za nim zrobił się szum, jak gdyby ze skrzydeł, podnoszących się do lotu głuszców.

Po chwili ziemia zdała się pod nim zapadać, a on leciał, jak gdyby w przepaść — prędko — niepowstrzymanie...

I wszystko dokoła niego dygotało.

Gdy się po jakimś czasie oglądnął, poznał, że to były tylko *majaki* leśne, a możeć było to i działanie upiorów?... Bo on leżał na ziemi.

— Uciekaj ztąd czempredzej!... Czyli nie widzisz, że to miejsce *niesamowite*?

XIV.

Na drugi dzień, krocząc rozwozem *Laszczyni*, doszedł już do miejsca, gdzie się ta schodzi z *Czarną Cisą*. Był już zatem w węgierskim *Jasieniu*, ciągnącym się temi dwoma rozworami.

Tu się uważnie rozglądając, wypytał z ostrożnością o mieszkanie owego *świaszczennyka*. Idąc zaś mieścina uważał, jak niejeden mijając go, kiwał znacząco głową, półgłosem jakby do siebie szepcąc: »Chłop — nie chłop? Pacholek-ci to jaki — albo i nie pacholek?«

Gdy stanął nareszcie przed starcem białym jak mleko, a pochylonym z wieku, ucałował go w obie jego ręce drżące, kościste, i położył na stole dwa białe *srokowce*.

Stary nań popatrzył, zapytując, czego żąda.

— Ta wy już... wiedzieć macie... *otcze*... ta mówią, że wy... wy macie *takie sposoby*, iż zażegnacie każdą *Biedę*?

— A jaka to-ci Bieda, synu?

— Tać już Bieda, a wielka trapi mnie; taj dzień i noc, *otcze*... Hej! Jakby to wam już powiedzieć?

Tu zaczął się skrobać w głowę. Stary czekał, a powieki czerwone drżały mu od starości. Taras dodał:

— Ta wy macie już na to *swoje psaltery*? — i wpatrzył się błagająco w starego... Nareszcie dodał: — Powiadają ludzie, że znacie *takie* pacierze, które chociażby *już takiego* odgonią upiora?

— Nie inaczej, że ja-ci mam na nich bicz, mój synu. Tu wpatrzył się w obcego. Potem rzekł: — A gdzież to ona chata, kędy się »złe« pojawia?... Juz to ja je kropielnicą, niby kipiátkiem wody... Ho! ho! poczuje *ono*, że to nie przelewki!... Ale

gdzież bo to się pojawiło synu?... Jeśliby niedaleko... zawiedziesz mnie tam zaraz!

— Ta gdzie ja mam was wodzić?... Ja bo z daleka... Aż *het* z *laskiej* strony. A Bieda wszędzie za mną chodzi.

— Za tobą chodzi?

— Gdzie jeno stanę, a nocka mnie ciemna zaskoczy, wtedy zaraz się pokazuje, czy to w lesie, w jarze, czy na łące — i spokoju nie daje człowiekowi.

— Chłop to czy kobieta?

— Ta już chłop — odrzekł chwiejnym głosem.

— Ano żył on kiedy?... Czy też może tylko mara piekielna?...

— Ta już żył wam i był gazdą.

— A może on tobie był czem za życia?... Możeś mu co winien?... Sąsiad czy obcy? Kum może jaki?...

Po dłuższej chwili rzekł *mołodec*:

— Ta, gdzie tam!... Ni on mi sąsiadem, ni kumem. — I dodał: — To wam nie był już »swój«. To obcy.

A gdy to wymawiał, czerwienił się, bo wiedział, że kłamie. Tu się zamyślił stary, a czerwone obwódki do koła oczu nieznacznie krwią mu nabiegły.

Po niejakej chwili znowu zagadnął:

— Ano czyś ty jemu co winien?... Możeście za życia obaj byli sobie wrogami?

— Ta, co *ja* mu *winien*?... I czego on chce

odemnie?... Ja was tu proszę, zróbcie tak, żeby *to* przepadło... tać już nie miało do mnie prawa.

Stary wpatrzył się w oczy młodzieńcowi — i zdawał coś ważyć.

Nastało milczenie, a młodzieńcy, jakby cudu, oczekiwał ze drżeniem słów starego, co jednym zamachem *zażegnać* miały widma zabitego.

Nareszcie dodał stary:

— Tu trzeba i z twojej strony pomocy... nade wszystko skruchy twojej, *dityno* moja... Pójdiesz teraz ze mną, synu.

I zawiódł go za sobą do cerkwi.

Tu jakiś lęk uroczysty przejął młodca, jakieś trwożliwe wyczekiwanie czarów i cudu. On już dawno nie był w domu bożym.

Wpatrzył się w starego, jakie ten teraz rozpocznie czary a *zamawiania*. Lecz *świaszczennyk* wziął stułę i kazał mu uklęknąć zapytawszy zaraz:

— Dawnoś się spowiadał, synu?

Taras się przeraził, gdyż dawno już był zapomniiał spowiedzi. On dzisiaj oczekiwał guseł tylko i cudu, bez własnej pomocy, bez pokuty wszelakiej; spodziewał się tylko, że mu *świaszczennyk* niby do snu ułoży głos odzywającego się sumienia i zdejmie *uroki*, a on tu zaczyna spowiedź. Lecz zaraz w myśli sobie dodał, iż może to-ci wszystko potrzebne, zanim wypowie *słowa zaklęcia*. Poddął się też poniewoli.

Po chwili rzekł kapłan:

— Coś ty za jeden?... Może ty *wiun* jaki?...

Może włóczęga?... Czy ty się nie spowiadał nigdy?...

— Ta ot! czemu nie?... Ale byłoto dawno... bardzo dawno.

— A skądże ty, chłopie? — zapytał go się poraz drugi.

— Ta już z *lackiej* strony.

— A po co przyszedłeś, synu? — rzekł po zwyczaj.

— Przyszedł do was, bo mi prawili ludzie, że wy wielki *charakternik*, a *mądry*... taj taki, co już odżegna wszystko »złe« — ma-ci swoje *mołytwy*, tać *psaltery*, jakich nasi po stronie *lackiej* nie mają: toć ja przyszedł aż tu do was.

— Czemeś więc obraził *Hospoda Boha*, grzeszniku?

Mołodec zaczął mówić, co uważał za grzech po swojemu.

Kapłan ciągle czekał.

Gdy już przyszedł *mołodec* na to, co go tu przygnało, — zatrzymał się i stanął... Zdawał się szukać w myślach...

— No, co dalej, synu?... Jakżeż z owym upiorem, który ci pokoju nie daje?

— Tać to już wam może upiór z *nieżywego*?... A tak!... Może-ci z zabitego? — wyjąknął grzesznik z obawą.

— A kto go zabił?... Może ty wiesz?

Tu umilknął klęczący i nic już nie mówił.

— No, powiedz, ja przecież *świaszczennyk*...

na miejscu jestem *Hospoda Boha*, a nie żaden świecki sędzia z toporem na zbrodniarza.

Zatrzymał się chwilę, potem dodał:

— To była może bójka między wami, jaka się czasami wydarza?

— Ta już tak, *otcze*... ta, niby bójka...

— I ty niechący?... Gadajże!... Albo może chcący jego zabiłeś?

— Ta gdzie ja wam... chcący... On mnie sam napadł... Ja się tylko bronił...

— Ale czego on chciał od ciebie?... No, mówże, gdyż inaczej odejdę i zostawię cię własnym kłopotom.

— O! nie czyńcie tego... *Pomyślcie!* Ja już wam powiem...

I zebrawszy myśli rzekł po chwili:

— To już tak było... ot, tak nam chodziło... o jego...

I tu się zakłopotał, a stary odpowiedział:

— Dziewczynę czy może żonę?

— Ta, gdzie żonę?... O dziewczynę jego... Ale ja jej wpierw nie szukał... *Hospod Boh* tak nam już dał.

— Toż stary dać jej tobie nie chciał?

Tu się wstrząsł *mołodec* i rzekł tylko:

— On czatował na mnie—tać ja... I tu urwał.

— Ależ mów wszystko!... Inaczej bowiem nie zadam ci pokuty i nie będzie rozgrzeszenia. A ty nie będziesz miał pokoju...

— Ano gdy już powiem, *zażegnacież wy Biedę*,

otcze, że ona przepadnie?... Ja was proszę... Ja wam więcej dam jeszcze takich białych *srokowców*.

I zaraz się poprawił, dodawszy:

— Ta będę pracował... dzień i noc... a dla was zarobię...

Tu się rumienił... a pojrzawszy na starego, rzekł:

— Ale... wy mnie... nie zdradzicie przed ich sądami, wy mnie panom nie wydacie?

— Co ty mówisz, ciemny chłopie?... Spowiedź—to tajemnica. Nie bój się!... Gdy wszystko powiesz... ale *wszystko* musisz powiedzieć, jako przed *Hospodem Bohem*...

— No, to ja już powiem. Ten człowiek... On... przeze... mnie... *pohybał*... Ale ja mu nie chciał nic złego zrobić... Tać mnie sam napadł... Biegł za mną... Chciał wam strącić z kładki w koryto potoku, na kamienie.

— I tyś jego... Mów prawdę!

— Nie, *otcze*... Myśmy obaj pospadali... Ale on tak upadł nieszczęśliwie, że musiał połamać sobie żebra. I dodał: — Lecz wrócił potem jeszcze do dom — tać zmarło mu się wkrótce.

Tu urwał grzesznik, a kapłan czekał jeszcze. Poznał bowiem nie małe w grzeszniku zakłopotanie, dodał też czempredzej:

— Jeśli nie powiesz wszystkiego, jak to było i kim ten człowiek był dla ciebie — ja nie znajdę sposobu, by ci wrócić spokój, synu.

— Ach powiem, powiem, *otcze*; ale wy się sierdzić nie będziecie?... To straszna rzecz.

— Straszna?... Czego ja się tu dowiem!

— Ten człowiek... Ach!... on miał... dać... mnie... nieszczęsnemu... życie?—I tu pobladł cały.

— Toż to był twój ojciec?

I tu się szeroko rozwarły źrenice staremu, a obwódki dokoła oczu krwią nabiegły.

— Toś ty zabił ojca własnego? — I zaczął wołać:

— Piekło!... W smole po uszy! Na to ja nie mam ratunku... To nie w naszej mocy!... Morderca! ojcobójca!

Mrowie przeszło po kościach Tarasowi, atoli słabym jeszcze wyjąknął głosem:

— Ale on... nie był mi ojcem... nigdy nie był ojcem jako inni... Jam jego nigdy nie znał, nie znał...

— Co?... Co ty prawisz?

— Ja nie wiedziałem, *otcze*, kto on był... Gdy już leżał na ziemi, powiedział mi dopiero... Ależ to nie był ojciec! To był wróg mój!

— Ach! ty prawisz... Boże! zmiłuj się nad tobą!... W tobie nie ma skruchy!... Nad takim żaden sługa Boży nie ma mocy!... I daremne wszelkie twoje datki, wszelkie ofiary!... Ofiar twoich Bóg nie przyjmuje... One nie idą na zbawienie duszy, jeno na jej zagładę a potępienie. Ty go nie kupisz żadnym datkiem, żebyś sypał korcami *sro-kowce*.

A grzesznikowi robiło się coraz zimniej. On nigdy słów takich nie słyszał. Jemu się zawsze zdawało, że *poły* przyjmują datki, by odmawiali *swoje* pacierze, a te bez przyczynienia się człowieka mają moc taką, że już wszystko mogą *zażegnać*.

Po chwili dodał kapłan:

— Tyś podszedł sędzie świeckie... Ale Boga nie podejdiesz!... Żali wiesz ty, kto On?

I utkwiał wzrok gniewny w grzesznika.

— Gdy burza nastaje, groźna *hodyna*¹⁾ a zawierucha taka się podniesie, że stare padają odwieczne świerki, by trzcina: żali ty powstrzymasz wtedy, słaby człowieku?

A grzesznik blednął na te słowa, i drzenie go podchodziło jakieś przedtem nigdy nie uczuwane.

— Otże widzisz! to zamach Bożej ręki!... Skoro On zechce, rozpadną się góry i skały, a lasy w jednej chwili położą się pokotem i będą już leżeć, taj gnić. I tyś tego Pana obraził?... Nie boisz się Jego?

Tu mocniej pochylił głowę klęczący.

— On wszystko widzi. Świeckie podejdiesz sędzie... Jego nie podejdiesz. On wszystko widzi! Ludzie ci uwierzyli, gdyś dzieło ręki swojej zwałł może na drugich?... Gadajże, iżeś na drugiego zwałł... skłamał... niewinnegoś może oskarżył, bo cię ludzie wolno puścili?

¹⁾ *Hodyna*, znaczy u hucułów burzę ze słotą, wogóle wielką nawałnicę.

— Ta gdzie mnie... oni... puścili? słabym głosem wyjąknął grzesznik... Jak mieli złapać, tać oddać sądom... skoro ja już... I tu urwał, a krew mu coraz bardziej uchodziła z lica.

— Skoro ty już... No, mówże dalej! Musisz całą prawdę powiedzieć... Inaczej Bóg cię potępi, a na ziemi nie będziesz miał spokoju.

— Skoro... ja... w bory pognał... czarnohorskie..., słabym odpowiedział głosem.

— Tyś... w bory... pognał... czarnohorskie?...

Tu uważniej spojrzał spowiednik.

— A jak ja miał wracać do sioła?... Czy ja mógł już wracać pomiędzy ludzi?... taj patrzeć na nią, której ja ojca...

— On z lasów!... I dodał ciszej: To zbój, opryszek!... Boże zmiłuj się nad nami!

A grzesznik wbił w ziemię wzrok swój ponury. Nastąpiła chwila milczenia.

Kapłan zbierał myśli swoje, a grzesznik oczekiwał wyroku.

Po niejakiem czasie rzekł kapłan:

— To ty chcesz, by ci Bóg odpuścił winy, a sam zostajesz jeszcze w ohydzie zbrodni?... Ty jeszcze rabujesz i rozbijasz?... I przynosisz tu *srokowce* białe, *srokowce* wydarte drugim?... Chcesz podejść księdza i Boga!... Chcesz przekupić!... Ho! ho! To nie z ludźmi sprawa!... Ty myślisz, że gdy dasz dziesiątą część..., setną — tego, coś zrabował i skradł drugim, którzy zapracowali... ty

sądzisz, że Bóg przyjmie ofiarę i że ci winę odpuści?... Ja nie wezmę twoich *srokowców* dla siebie, lecz rozdam między biednych... Choć w setnej części odda się tym, jakim wydarłeś. — Nie, ja nad tobą dziś nie mam mocy! Ja ci nic nie pomogę... Będę się tylko modlił, iżby cię Bóg oświecił, ażebyś opuścił żywot sprośny...

A grzesznik podniósł wzrok lękliwy i żrenice mu się rozszerzyły.

— Tak, tak... musisz wpierw rzucić szajkę, wydać sprawiedliwości zbrodniarzy, by je dosięgła ręka ludzka i Boska!... A wtedy może Bóg tobie odpuści. Dziś ci nie mogę dać rozgrzeszenia.

A grzesznik patrzył ku ziemi, jakby ciężarem słów tych przygnieciony.

Po chwili rzekł kapłan:

— Czy ty żałujesz za grzechy, za wszelkie złości i zbrodnie swoje? Żali żałujesz, żeś był między zbrodniarzami, na których cięży krew ludzka, pot upadających pod brzemieniem pracy?

Tu nastąpiło milczenie.

Grzesznik nie odrzekł ani słowa.

— Ty milczysz?

Grzesznik milczał upornie.

— Ha! dziś będę się tylko modlił, by cię Bóg oświecić raczył. Ja nie mam nad tobą mocy.

— Toż nie dacie mi żadnego poratowania?

— Czy żałujesz, żeś był między złymi ludźmi? — zagadnął silniej kapłan.

Grzesznik milczał.

— Skoro więc tak... Ja tu dziś nie mam dłużej co robić.

I odszedł, zostawiwszy samego grzesznika, klęczącego, wołając tylko: Boże zmiłuj się nad nim! Oświeć duszę tę ciemną!

Grzesznikowi pociemniało w oczach.

On przyszedł tu ufając w czary jakieś cudowne, bez pomocy winnego »złe« zmazujące... a tu tyle dziś od niego żądają.

Czekał jeszcze czas niejaki. Chłód cerkwi, zimny lodowaty, obejmował go dokoła. Chrystus na krzyżu z obrazu złoconego patrzył jakoby gniewnie. *Maty Boża* nawet wzrok miała posępny. Światło przeciskające się przez okna cerkwi było pełne grobowego smętku.

Tarasowi było dziś straszno i marnie na duszy.

Nareszcie się zabrał i wyszedł przygnębiony.

Kroczył ponad potokiem »Laszczyni«, który teraz głucho szumiał po kamykach, i nie wiedział co czynić.

Żądają dziś od niego, by opuścił drużynę, by ich nawet wydał?... Ależ to niepodobna!... Jakto?... Rzucić ma drużynę, co go niegdyś przyjęła, sama jedna, gdy go świat wszystek opuścił?... Ano ci ludzie, co tu przechodzą, czyżby go przyjęli jako swojego?... Oni nim raczej pogardzą, jako dawniej, gorzej, niżeli dawniej, bo im tyle już dokuczył. To świat już nie jego!...

Czego żąda ten stary?... By on swoich zdra-

dził i wydał na zagładę?... Za co?... Że go przyjęli jako równego sobie?... I tu się zamyślił.

Potem jakby już zapomniał słów kapłana — i dawny w nim ruszył się człowiek; dodał więc zaraz:

— Czemu on tego żąda? Bo z sędziami, tajpanami w zмовie!... A *mołodca* ma już za takiego, co do wszystkiego zdolny — do każdej zdrady. Bo on zbój, bo rabuś!... Czemużby i innych nie miał zdradzić?... Tu w nim żółć się ruszyła, że o nich takie mają wyobrażenie...

Lecz zaraz mu na myśl przyszło, że przecież mógł być go stary zatrzymać, gdy się dowiedział, iż on z drużyny? A przecież odszedł spokojnie, nie nagabując go wcale.

Tu pojął różnicę między postępowaniem tego starca a swoich druhów, którzy pewnieby nie puścili, gdyby kogo z obcych w swoje dostali ręce. I czemu on *srokowców* onych nie chciał wziąć dla siebie. — Jabym mu dał więcej, pomyślał sobie *mołodec*, gdyby mi chciał pomódz, tać *odczynić Biedę*. Wszak skoro dają, każdy bierze.

Tu się zastanowił, i nieznane dawniej budziły się w nim dziś myśli. Był teraz ze sobą w sprzeczności.

XV.

Skoro się znalazł między swoimi, skoro zobaczył tych, co go niegdyś przyjęli — jego, nie mającego

ojca ni chaty, porzuconego przez tych, co mają ojców i chatę własną, poznał wtedy, że tu już jego przeznaczenie. Dzicz borów nieschodzonych, wertepów, bezsłonecznych — to świat jego.

Gdy go owiało powietrze wysokich gór, ostre, mroźne, gdy usłyszał huk dzikich pieśni drużyny swojej, znikły wtedy wszelkie skrupuły, przepadły słowa kapłana!

Rzucał się w niebezpieczeństwa, a to mu dodawało siły i wiary w siebie i w świat ten odrębny, będący w kolizyi z tamtym, w którym władają sędzie i dusz-pasterze.

Mimo to gdy spokojniejsze przychodziły godziny, gdy zostawał sam ze sobą, a *mołodcy* gdzie na boku chrapali po jakiej przygodzie; wtedy czuł, że mu jakoś dziś już inaczej.

Chwilami rozbierał w sobie myśli, jakich dawniej nie miewał.

Dawniej, gdy zdzierali z drugich zdobycz, czuli się w tem wszyscy w prawie, jako silniejsi... Taras miał nawet pewne zadowolenie, gdy mógł dokuć ludziom ze siół, mieszkającym w chatach i mającym rodziny; oni dla niego zawždy byli wrogami! Pasł się też widokiem blednących *bohaczy* — przerażonych. Takich pierwaj widywał butnych i hardych!... Teraz zaś buta ich korzyć się musi przed siłą i odwagą dzieci puszczy i dzikich ostępów.

Tak dawniej zawsze sądził.

Dzisiaj?... dziś zaczyna wątpić, czyli *mołodcy* mają prawo, tamtym odbierać, czego sami nie za-

pracowali. Czego nie zapracujesz, to nie twoje. Czy *Hospod Boh* tak postanowił? A jeśli On tak postanowił, to karać będzie, gdy go ludzie nie usłuchają?... *Świaszczennyk* mówił, że skoro On zechce, rozpadną się góry, taj skały, a całe bory w jednej chwili położą się pokotem, nito wiotka trzcina... Tu się zamyślił *mołodec*.

I stanęły mu w oczach chwile w tych borach *takie*, w których nawet jego druhowie pacierze zaczynali odmawiać.

Może więc ten stary miał racją?... Może on prawdę mówił?... Tu tonął we własnych myślach.

Słowa kapłana, natrętne, coraz częściej powracały w duszy jego, nie dając mu spocząć. Lecz skoro spojrzał na druhów, nie mógł tego przenieść na siebie, żeby ich miał opuścić — wydać do tego władzom.

Dzicy ci ludzie, nieokrzescani, przyjęli i stali mu się braćmi, gdy go inni opuścili.

Nie, on tu z nimi los swój, dobry czy zły, dzielić dziś musi. I dodał silniej: Stary kłamał... On musiał już kłamać!

Chwilami zaś, po jakiej wyprawie *drużyny* na bezbronnych mieszkańców, po odbyтым, pełnym grozy rabunku, wydali się Tarasowi druhowie jakby dziś już inni, niżeli dawniej...

Czy oni dziś gorsi, czy może to tylko jemu tak się zdaje?... Ale nie mógł już zagłuszyć głosu w sobie wewnętrznego. Miał nawet dla druhów swoich słowa pogardy — i żółć się w nim burzyła.

Chciałby w tej chwili być od nich daleko... Wtedy chwycił za flaszkę z gorzałką, siląc się nią zatłumić w sobie myśli raz wraz się pojawiające, zabić robaka, co od czasu pewnego gryzie.

Nocami stawało znów oczom jego przerażonym widmo dawno zmarłego.

Żali ten nie może już spocząć?... Będzie-li się wiecznie o swoje upominał?...

Ha! bo on osierocił córkę i matkę!... Teraz zaś osieroca drugie córki i matki!... Czuł dzisiaj, że jest winny; dlatego i tamten ma teraz do niego prawo...

Kto mu dziś pomoże?... Na Boga! kto mu pomoże?!... Niechajby się już od niego odczepiła mara!

Radzono mu jeszcze zanosić świeczki do cerkwi po siołach; one mają już *swój* skutek. Wierzano w nie, bez wiary prawdziwej — wierzano w nie jakby w gusła a praktyki.

Taras zanosił światło do cerkwi Mikuliczynskiej, to da Żabiwskiej, przebrany za parobka ze sioła. Ale skruchy tu nie było, żalu nie było żadnego; był-ci w tem tylko strach i małoduszność. A ofiara do domu bożego szła z łupów zbójceckich.

Świeczka ze zrabowanego drugim grosza nie mogła się Bogu podobać: tak mówił ów kapłan. Czuł to po części Taras; miał bowiem jakieś ciemne przeczucie, że to nie może być miłem Bogu.

Chwilami powracały mu w pamięci słowa starca, których z początku nie mógł być zrozumieć —

on wychowany bez ojca, bez matki, która go wcześnie odumarła, gdy w owych czasach nawet tacy, co mieli własnych ojców i których matki uczyły pacierza, nie miewali lepszego o Bogu i ofiarach składanych w cerkwi wyobrażenia!... Jego zaś kto uczył prawd wiary świętej w dniach młodości?... Kto był mu wychowawcą?

Chował się jako ptaki, wypadł z gniazda, jako zwierz na pustyni, jako opryszek wśród z opryszkami.

Czasem powstawała w nim myśl jakaś, niby lepsza... ale ta była w pomroce, jakaś jeszcze ciemna. Było to dalekie tylko przeczucie czegoś jeszcze nieznanego, leżącego wprawdzie w naturze człowieka, ale żywot wśród dzikich ustroni, wśród puszczy odludnych — żywot taki, z łupów i rabunku, nie mógł jej doprowadzić do jasności.

Mimo to dziś już stracił Taras dawną pewność siebie i swojego działania. Jakaś niebywała pierwszej chwiejność siebie cechowała kroki jego dzisiejsze; *mołodcy* zaś wydawali mu się dzisiaj bardziej podobni już złodziejom i rabusiom, aniżeli junaikom z gór i górskich lasów.

Czynił jeszcze wprawdzie wyprawy z nimi, tu i owdzie po *lackiej*, to po węgierskiej stronie, lecz czuł czasami, i to z dnia na dzień coraz częściej, pewne jakieś znużenie, dawniej niebywałe.

Mołodcy zaczajali się po wertepach Czeremoszów, to po zapadłych rozworach potoków Prutowych... Odwiedzano nawet *plaje* węgierskie nad

Czarną, nad *Białą Cisą*, zapuszczali się daleko na wschód, w głąb aż Bukowiny; ale *mołodca* naszego coraz to już bardziej teraz nużyło. Nocy miewał coraz częściej bezsenne. A kiedy obdzierano bezbronnych, dostawał wtedy nawet ochoty bronięcia słabszych... Nieraz pogroził druhom, nazywając ich po prostu rabusiami, a gdy mógł, nie dopuszczał do czynów ohydniejszych. Nazywali go wtedy *wid-miną*, taj tchórzem *pohanym* — grozili mu, że go zabiją, ano na śmierć zatłuką, jakoby *pyrhę*¹⁾ wściekłego; ale on stawał w takich razach w jednej chwili jak żbik rozjuszony, pokazując, że ma jeszcze pazury ostre, jako dawniej; druhowie wtedy kładli ogon pod siebie, poznawszy, że to dawny jeszcze *mołodec*, któremu nie zazierać w oczy.

Gdy zaś przychodziło rzucić się w niebezpieczeństwa, był do tego zawsze najpierwszy: to jeszcze miało dlań urok, było jego życiem! Takiego też szanowano druha.

Lecz gdy napadano na chaty spokojnych gazdów, po ciemnej nocy, wśród pluty i zawieruchy górskiej, w *nałyczmanach*²⁾ na twarzy, gdy męczono i torturowano ofiary, przykładając węgle do ciał rozżarzone, by wykryć kryjówki, gdzie duszą *sro-kowce*: wtedy poznawał, że jest w drużynie tylko łotrów, tylko zbrodniarzy! Wtedy miał ochotę po-

¹⁾ *Pyrha*, pies złośliwy.

²⁾ *Nałyczsman*, rodzaj maski na twarz, jakiej używali dla niepoznania rabusie.

rzucić zbrodniczą tłuszczę i wejść pomiędzy ludzi, co nie kradną, nie rozbijają, lecz w pocie czoła na życie pracują. Myśl ta płonęła już w jego duszy i nie dawała spokoju *mołodcowi*.

XVI.

Dnia jednego zostali *mołodcy* obskoczeni przez siły przemożne. Przychodziło im już uledz.

Dwóch z nich jeszcze do tego uciekło, zapadłszy gdzieś w gąszcz, z pokiereszowanemi prawie łbami. *Watażkę* brano już w łyka.

Wtedy Taras, widząc druhów całkiem już upadających, rzucił się jeszcze jak *źwir* zraniony... Wydobyszy ostatnią z siebie siłę, w mgnieniu oka dwóch ze straży obił... ale ratując *watażkę*, rozrywając mu łyka czempredziej, dostał tak silnie kolbą po plecach, że mu pękła łopatka. Syknął z wielkiego bólu, ale mimo to, nie dał za wygranę — i nieprzyjaciół musiał uchodzić.

Tak uratował wodza i drużynę.

Watażka i *mołodcy* wybawieni zostali od szubienicy. Wiedzieli też dobrze, że gdyby nie Taras, wkrótce już ich ciała wisiałyby na haku na grę wiatrów, na urągowisko ludzi z sioła! Taras ich wybawcą; jemu też od dzisiaj należy się wdzięczność! cześć jemu i sława dozogonna!

Klęli się, że teraz za to i jemu się odwzięcżą, jeśliby kiedy w podobną popadł przygodę.

Atoli gdy został teraz z bokiem krzywym, z do-

rodnego *łęgina* stawszy się jeno kaleką; z dnia na dzień zaczęto dla niego chłódnać. Wdzięczność *mołodców* ulatywała z wiatrem; zapomnieli o przykrej przygodzie — a nawet ci, co pierwsi zemknęli, wynosili się nad niego.

Zwolna dawano mu do poznania, że jest im teraz tylko ciężarem. Poszturkiwano nawet tym, co nie miał dziś takiej siły, ażeby się innym mógł odbić; śmiali się jakby z niedołągi. Lekceważono *mołodca*, okazując mu pogardę, jako słabszemu.

Wtedy opanowało go rozczarowanie. Miał dla druhów jeno pogardę.

Poznał, że jest tylko między »złoczyńcami«, co potrafią kraść i rozbijać, ale nie mają popędów lepszych człowieka. Oni dziś już wydawali mu się takimi, za jakich uważał *mołodców* starzec z cerkwi Jasieńskiej.

Że ratował krwią swoją i życiem własnem druhów swoich, że się za nich poświęcił, za to teraz porzucają się nim, okazują mu lekceważenie i pogardę, jako słabszemu. Gdyby był ich zdradził, i wydał w ręce »mandatarom« a »ferwalterom«, przebaczonoby mu wszystko i jeszcze może dołożono nagrody: zostałby dobrym nawet gazdą... a może i zyskał spokój wewnętrzny, Tak mu teraz odpłacają!

Przygnębiony, nie mogąc już znosić urągawiska od tych, których od niechybnej wybawił śmierci haniebnej, pełen żalu do wszystkich, pogardzony, ale i pogardzający opuścił drużynę.

Puszczono go wolno; wiadano bowiem, że nie umie zdradzać. I czemuż mieliby go nie puszcząć, skoro dziś już im niepotrzebny!

Taras poznał, że spędził życie między złodziejami i rabusiami. Odkąd przybył z Jasienia od tego starca, inaczej już się na wszystko zapatrywał, i z dnia na dzień innymi wydawali mu się druhowie jego; inaczej też pojmował dziś słyszane tu i owdzie o *mołodcach* zdania.

Inne myśli, choć jeszcze ciemne, nurtowały w nim odtąd i tworzyły w duszy jego zamęt i niepewność, z czego sobie jednak sprawy zdać nie mógł.

Mimo to przychodził coraz częściej do innego już przekonania. Poznawał dziś powoli, co *złe...* a *mołodcy* coraz bardziej w oczach jego stawali się czarni, coraz bardziej występni.

Czuł teraz, że i sam winę na sobie dźwiga, przebywał bowiem tak długo z tymi ludźmi. Jakże to dziś naprawił?... *Świaszczennyk* mówił w Jasieniu coś o pokucie, by zmazać winy dni przebytych... Jeżeli co już będzie dla niego pokutą, toć ono, że wejdzie pomiędzy dawnych ludzi, na służbę, jako kaleka.

Tak też zaszedł do jednej z chat, pytając się, czyby nie mógł tam stanąć za *najmity*¹⁾?... Chciałby pracować. Ale gdy pojrzano na jego kalectwo, na bok wykrzywiony, odpowiedziano po chwili, że *najmity* nie potrzebują, bo to gazdowstwo samo sobie wystarcza.

¹⁾ *Najmit*, parobek, sługa.

W innej znów chacie prawie już dobijano targu, lecz gazdyni, wpatrzona w obcego, miała przestrach w twarzy, i zaraz coś na uboczu szepnęła do ucha gaździe swojemu, który nieco pobladł, — i kazał się obcemu czempredzej z obejścia swojego wynosić; tłumaczył się tem, że jest zanadto ubogim, by potrzebywał sługi; choć poznać można było po chacie przestroniej, po całym otoczeniu, że to dostatniejszy gazda. Ale ludzie ci poznali, kto Taras był i z jakimi przebywał...

Czy życie to z *mołodcami* pozostawiło takie na nim piętno? żali kaleka dziś nie obudzi już zaufania?

Po niejakim czasie udało mu się wreszcie stanąć u pewnego gazdy za *najmity*. Postanowił też pracować, ile tylko zmoże, jakby chciał dziś nagrodzić spędzony w junaczem próżniactwie żywot, wynagrodzić to, co zaniedbał.

Byli też z niego radzi.

Lecz ponieważ nie żałował sił swoich, których jako kaleka nie miał zbyt wiele, ponieważ po nad możność swoją pracował, nakładano nań coraz więcej. Na pochyłe drzewo każdy wylazi. Nie wiadano, że Taras wcale nie ze słabości poddaje się ich rozkazom, lecz już tak sobie postanowił.

Ponieważ pracował nad siłę, rany mu się dawne odnowiły, rany zdobyte w tylu przygodach: to go zwały na łożę; musiał przeleżeć czas niejaki. Atoli jeszcze nie wyzdrowiawszy, powstał — i dalej zaczął pracować; jemu się teraz zdało, że

już spokój uzyska. Mara dawno zmarłego teraz mu się nie pokazywała. Zdawało się nawet, że Bóg już przyjmuje pokutę jego na ziemi.

Lecz gazda, spostrzegłszy tu i owdzie rany otwierające się, zaczął się domyślać, co znaczą owe kresy na twarzy, co również i łopatka ta złamana... — Oj! to niekoniecznie musi być od przygód na połoninach, w obronie *marzyny* przed niedźwiedziem? — Tu wszedł w służbę swego, który się przyznał, kim był właściwie i jaki pędził żywot. Lecz teraz, to już co innego! On dziś chce szczerze inny wieść żywot. Ale gazda, dowiedziawszy się o tem wszystkim, oddalił wkrótce *najmity*, nie pytając nawet gdzie się podzieje nieszczęsny.

Ha! chciał być człowiekiem jako inni, którym dola dała ojca i matkę, i w ojczystej wsi pozostawiła — on bez ojca, bez opieki od młodości, bez gazdowstwa, chciał się drugim wysługiwać, ale mu nie dano.

Szedł jak ptaszę wyrzucone ze stada, ze złamanem skrzydłem, i dumał, czemu on dziś taki nieszczęśliwy... Wszak nie był przystąpił do drużyny z łakomstwa zysku, jak owi na gospodarstwie gazdowie, co żyjąc we wsi między spokojnymi sąsiady, niepoznani, wchodzili do szajki, sprowadzając zbóje na kumy sobie, a pobratymy, dzieląc się łupem na *swoich* zrabowanym?...

Wszak on nie mordował — nie zabijał bezbronnych mieszkańców; owszem stawał czasami nawet w obronie niejednego. Nikogo nie zdradził,

nawet zbójów, choć miał po temu sposobność i zachętę. A dla niego czem byli inni?... Ileż krzywd musiał dźwigać od zarania żywota! Czyż warte co takie życie?

Ale jeszcze nie chciał się poddać rozpacz — nie chciał dopuścić, by czarne myśli w duszy jego wzięły górę. Zachodził też do chatyn gazdów, błagając, by go przyjęto za *najmity*. Jednak wszędzie otrzymywał odmowę.

Czy jemu już na twarzy wyryte, że go ludzie się bali, nie wpuszczając do chat swoich spokojnych?... Czyli od urodzenia już napiętnowany?...

Ziemia piękna i szeroka, łąki pachną rozkosznem siankiem, ogrody kwitną, ale nie dla niego! W rozworach rzek, w spojnych dolinach ciągną się chaty mieszkańców, a w nich wesoła skupia się rodzina: on zaś tu samotny, opuszczony od wszystkich, ze społeczeństwa ludzkiego wyzuty, błąkać się musi, nie mogąc wprosić się pod żadną strzechę, by mu pracować pozwolono. Takim też myśлом oddany, zaszedł nad brzeg Czeremoszu, gdzie w dole woda po złomach kamieni burząc się i pieniąc kipiátkiem waru wpadała w czarną głębię, tworząc wir szeroki, pełen jakiejś ponurej grozy.

Słońce zachodziło posępne, krwawe, chmury się zbierały; w powietrzu cisza była wieczoru, ale i groza wieczoru. »Zła« nadchodziła godzina.

On patrzył w głębię. Jeden skok teraz uwolni go od ciężaru życia całego. Ale tu w tej samej chwili stanęła mu w oczach przeszłość jego.

I widział Worochtę i Prut płynący pośrodku i one miejsca, gdzie biegał dzieckiem, i jeszcze inny obraz, smutniejszy, stanął mu w duszy. Żał mu się zrobiło... Ach! chciałby raz jeszcze przed skonaniem ujrzeć strony rodzinne i ludzi, których znał za młodu, choć mu oni nic dobrego nigdy nie uczynili... ale mimo to ciągnęło go, zobaczyć jeszcze raz tych, co byli niegdyś świadkami jego młodości!... ach! widzieć jeszcze jedną duszę!... Może ona mu przebaczy! Bo ciężko świat ten opuszczać i zostawiać po sobie przekleństwo tych, których się kochało!

XVII.

Przeszedł pasmo lesistej, w górę wzniesionej »*Kostryczy*« i schodził już do długiego rozworu Prutowego. Zdala dochodził uszu jego odgłos z hukiem i szumem przewalającego się Prutu. A chociaż mocno był strudzony i rany mu się napowrót odezwały; jednak szum wody ojczystej przynosił jakby daleki odgłos dawno minionych czasów.

Spieszył się więc... a choć musiał chwilami przystawać, jednakże się wysilał i schodził dalej ku jarowi Prutowemu.

Tyle wspomnień dawno minionych czasów tłoczyło mu się teraz w głowie, że kroczył jakby pijany. I nie wiedział, że mu coraz robiło się gorzej.

Piersiami ciężej już oddychał, rany go piekły,

w twarzy czuł krew palącą. Chwilami musiał przysiąść... Z wielkiego osłabienia wyciągał się jakby chory... Rozbierała go naprawdę choroba jakaś, łamiąc mu kości; usta miał spieczone, i palił go oddech własny. Mimo to podnosił się, kiedy zmógł tylko i ciągnął dalej.

Gdy już wszedł w rozwór Prutowy, wąski, kamienisty, nader błotny, stawały mu w poprzek poprzewalane na drodze świerki, omszone, dogniwające, zapełniające długo ciągnącą się dolinę. Tu i owdzie potykał się o głązy ostre, wystające; nieraz zapadał w roztopy błotne... ale szedł dalej...

Droga ta strasznie go męczyła.

Raz w raz musiał usiąść; jednak podnosił się z wysileniem, coraz większem — i kroczył dalej.

On chwycił już powietrze, wiejące z kotliny *Worochły*, i to mu sił niejako dodawało. Choć niczego tu nie zaznał dobrego, ale każdemu miłe powietrze, gdzie spędził poranek żywota.

Rozglądał się na prawo i na lewo, przypominając sobie każdy załom, każdy zakręt, każdą prawie kupkę smereczyny.

Woń *caryn* owiewała go, i zdało mu się, że siły nawet przybywają. Lecz to było tylko złudzenie! On był niby senny: on marzył. Marzył o młodości, i zdało mu się, że dziś na prawdę młodszy.

Nareszcie stanęła przed oczyma jego, cała kotlina wsi ojczystej. Tu uklęknął, i lzy mu się z oczu puściły. Dawno już nie płakał. Było to niegdyś, przed laty, wtedy, gdy był jeszcze niewinnym.

Szedł niby pijany, zataczając się prawie. Chwilami przystawał, wpatrując się w przechodzącego, i zdawał się czegoś szukać w myśli, niby coś sobie odpominać... Lecz tu ściągnęło mu się lice, gdyż poznał, że tyle lat już przeszło... On dziś nie ten sam i ludzie nie ci sami. Na niego patrzano się, lecz nikt go nie poznawał. Więc on tyle już się odmienił?... Tak odbiegł od dawnego *legina*, że nic z tamtego dziś w nim nie pozostało?...

Były nawet chwile, że ujrzawszy dziecko, przestraszone widokiem obcego, przywoływał do siebie, chcąc mu się bliżej przypatrzeć, czyli też ono nie to samo, które niegdyś widywał: ale tu musiał śmiać się sam z siebie... On teraz jak gdyby nie wiedział, że już tyle zbiegło dni, o których w tej chwili zapomniał.

Nareszcie nie zdołał już wlec się dalej... nogi się pod nim chwiały, i usiadł przy drodze. Nie były to siły dawne, dzisiaj rozbudzone, ale wysiłek jeno w gorączce pałacy. On marzył półsenny.

I nie wiedział, ile mu tak godzin zbiegło.

Powietrze owiewało go upajające i zasnął. A gdy się zbudził, noc już była i księżyc świecił w górze. Wypatrzył się, lecz zanim rozpoznał, gdzie jest, głowa mu spadła, oczy się napowrót zawarły, i zaczął chrapać gwałtownie, to niby się budzić i napowrót zasypiać. Twarz mu zaś wszystka pałała, choć ją oblewało światło księżycowe blade...

Przez sen urywane wymawiał słowa, potem sapał tylko. A gdy się obudził, było już rano. Za-

czał się rozglądać i odpominać, gdzie jest i jak tutaj przybył...

Głowa ciążyła mu kamieniem, piekło go w środku, krew biła z całego lica, parząc go niejako. Próbował wstawać, lecz musiał napowrót usiąść. Po chwili przecież się wysilił, i dalej z wielkim trudem zaczął postępować.

Wtem zdybał niewiastę jakąś z sioła, spieszącą po wodę do Prutu.

Ona spojrzała na niego. Nagle wstrząsła się, wyrzekłszy z cicha: »Dalibóg!... To on?... *Hospody Boże!*«

I zaczęła drzeć na całym ciecie. On na nią popatrzył uważniej, i nieco się zamyślił...

— Nie, to być nie może?... Tać jakby to już się tak stało?... I dodał półgłosem: Przecież to dziś... nie może... być... ona?...

— Tak... ta sama, wyszeptwała niewiasta.

I tu pochyliła lice, pełne żalu a rzewności.

On spojrzał na nią pełen litości, jakby nie wierzył, że to ta sama istota. Tyle nędzy i cierpień wryło się na tem pięknem, dziecięcem niegdyś obliczu.

— Niedola... ta chodzi po ludziach, a nie po lesie, wyrzekła. Ale ja ciebie zaraz poznała... Mówiono o tobie tyle złego... Lecz ty nie wyglądasz jak *oni*... Po chwili dodała: Ty przecież nie rozbijas? Nieprawda? Ty nie napadasz ludzi?

— Jam rozbijał z równymi sobie zbrodnia-rzami... Tu pochylił głowę, jak winowajca. Potem

dodał z goryczą: »Nie spodziewałaś się, że takiego zoczysz zbója?... Prawda, że wyglądam jak rabuś?... Ha! kto mnie widzi — ten przeklina tylko i ucieka!« Tu uśmiechnął się gorzko.

— Nie... ty tego nie mówisz naprawdę... Ciebie bieda popchnęła?... Klnę się, że bieda!... Jednak ty ich już rzucił?... Ty ich musiał przecież rzucić?... Nieprawda, żeś już dawno opuścił tamtych? — I czekała niecierpliwie.

— Tak, jam ich opuścił... ale mimo to zawsze byłem z nimi... i rabowałem. Wina na mnie ciąży; i ty mną gardzisz teraz... O! ty mi nie darujesz nigdy, że ja ciebie zrobił sierotą?... Ale... wierz mi... ja nie chciałem... Klnę się na moją duszę, że nie chciałem. Mnie nie wiele już chwil pozostaje do życia, bo rany się dawne rozwarły i pali coś w środku... a tak mocno... Patrz, jaki ja dziś słaby... Nie wiele już mi pozostaje. Toć ja przed śmiercią kłamać nie będę... A ja ci mówię, że ja jego nie chciałem śmierci!

Ona się weń wpatrzyła — i rzekła po chwili półgłosem: Ty go przecie nie zabił... *Boże borony!* żeby ty miał mi ojca zabijać!

Tu mu opowiedziała, o czem on nie wiedział, opisawszy śmierć ojca, który wcale nie przez niego, lecz sam przez siebie umarł.

Po słuchającym rozeszło się niby jasne słońko; był wzruszony. Krew uderzyła jeszcze raz żywiej na lice jego: czuł, że mu dziś jakby lepiej na sercu.

Ale to wzruszenie odjęło mu całkiem siły pozostałe. Ledwo co mógł się jeszcze zapytać ze drżeniem:

— Toż ty... teraz sama?... Czy ciebie żadnemu nie dano gaździe?...

— Ta jakby już nie dano?... Przysiadł *wujko* i przysiadła *maty* — i dano mnie nieszczęsną drugiemu. Ale jakem się iść wzbraniała, tak i doli z nim nie było żadnej. Wszyscy to widzieli.

Tu się zamyślił Taras.

— Czemuż to jego nie chciałaś?... Wszakżeś potrzebowała gazdy?

— *Maty* potrzebowała... tać i gospodarstwo nasze... Ale nie ja... Ja... ja już...

Tu pobladł Taras... On nie chciał dopuścić, by ta istota za nim... ha! przez niego...

I nie chciał dokończyć w myśli... Boby to była okropna fatalność losu!

— Ale ty chory?... Ty dzisiaj głodny?... Chodź do chaty, do mojej...

Lecz on spojrzał tylko posępnie i westchnął ciężko.

— Ja do chaty, do twojej... iść nie mogę...

— Ta czemu?... Czy ty mną już pogardzasz?... Ja dla ciebie zawsze ta sama... Tak długie lata *sumowałam*. I przy nim... on nie był moim *czetowikiem*, jeno przyjęto go jako gazdę do gazdostwa... a ja była tylko ofiarą... Ach! jakież to było życie nasze!... Ale to już przeszło!... *Hospod Boh* zabrał jego; nie chcę o nim źle mówić.

Ach! oboje byliśmy nie dla siebie... Lecz ja mu *pohoron* sprawiła, jak należy, taj opłakała, choć mi było z nim źle... oj! bardzo źle... I teraz daję za duszę jego.

— Ale Taras się zamyślił — i rzekł sobie w duchu:

— Ha! ona dziś wolna i myśli może... nie-szczęсна... o mnie, nie wiedząc, kto ja... dla niej... Ach! *Hospody Boże!*

Tymczasem gorączka coraz mocniej wzmagąła się... ceglasty rumieniec wychodził na lice...

Wzruszenie pogorszyło jeszcze stan choroby; nadzwyczajny tylko wysiłek i przyzwyczajenie do trudów trzymały go jeszcze przy życiu, ale już nie mógł się podnieść. Ona ciągnęła go do chaty, by go pożywić... on ją zlekka odpychał.

Nareszcie wyjąkał: Na miłość *Hospoda Boha!*... Nie ciągnij mnie do waszej chaty... Ach!... Nie wspominaj o tem, co już było... Ja nie wiedział i ty nie wiedziała... My oboje tu bez winy... Może inni... Ale nie do nas sąd należy!... Lecz słuchaj! Ja... twoim... nigdy nie byłem... kochankiem. To była ciężka tylko z mora.

Ona się wypatrzyła i żal ją objął wielki. Rzekła też z płaczem:

— O! nie mów tego! Ja tak długo *sumowała*... ty nareszcie przyszedł, po latach... żeby mi powiedzieć...

— Tak, nie-szczęсна, że ci byłem... Boże! dodaj mi siły!... Ja ci byłem, i dodał ciszej: bratem.

I tu się przeraził... Krew mu już z pod serca jak gdyby zaczęła uchodzić.

— Ach! przeklinaj dołą, nieszczęsna dziewczyno!

Ona się wypatrzyła, jakby słów jego nic zrozumieć nie mogła.

Tu dodał on: Tak... twój rodzic był i moim...

Potem już rzekł do siebie: Ach! nieszczęsna moja *maty*, którą on uwiódł! Zmarło jej się... tak wcześniej... w takiej nędzy!

Niewiasta nic nie rzekła, jeno stanęła, jakby jej mowę odjęło.

I było milczenie tych dwojga.

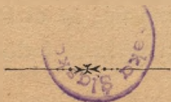
W powietrzu czuć było, jakby zbliżała się już godzina, która dwa razy w życiu człowieka nie nadchodzi.

On oddychał coraz ciężej, i coraz widoczniej ścigało mu się oblicze, a oczy mgłą zdawały się zachodzić. Nareszcie jęknął i zaczął charczeć, bo go chwycił ból w boku kurczowy... Ona się przestraszyła... Chciała ratować... Lecz daremnie!

Bił jeszcze rękami, jakby chwytając powietrze, ale sił już nie miał — i padł jak długi z rozwartemi usty, ze szklannemi oczyma...

A gdy słońce wyjrzało z za chmury, jego już nie było.

Tylko słychać było szept pacierzy. Ona sama jedna dziś pozostała, by przebłagać Boga za winy ojca i brata.



Niektóre polecenia godne wydawnictwa ŻUPAŃSKIEGO i HEUMANNA w KRAKOWIE

na głównym składzie u

GEBETHNERA i WOLFFA w WARSZAWIE.

	Złr.
Antoniewicz B. W. Podręcznik do nauki buchalteryi. Cz. I. zaw. dokumenta handl. (Całość wyjdzie w 5 częściach).	1'50
Balucki M. Pan Burmistrz z Pipidówki i Dwie wizyty Excellencyi, broszurowane . . .	1'50
oprawne	2'30
— Mój pierwszy występ literacki. Zbiór nowel, cena 1 złr. 20 ct., w oprawie . .	1'70
— Nowele: Głowa swoje a serce swoje. Pogrzeb przyjaciela. — Stara Kasia. — Panna Walerya. — Szpital waryatów .	2'60
— Poezye, broszurowane	1'20
oprawne	2'20
Chmielowski Piotr. Nasi powieściopisarze, zarysy literackie.	
Treść: Józef Ignacy Kraszewski. — Michał Czajkowski. — Henryk hr. Rzewuski. — Zygmunt Kaczkowski. — Jan Zacharyasiewicz. — Teodor Tomasz Jeż. — Henryk Sienkiewicz.	6'40
— Studya i szkice z dziejów literatury polskiej. Dwie serye, Serya I. zawiera: Artyści i artyzm. — Sobótka. — Ostatnie lata życia Jana Kochanowskiego. — Zapomniany poemat Wacława Potockiego. — Epopea z czasów saskich. — Charakterystyka Ignacego Krasickiego.	
— Serya II. zawiera: Pogląd na poezję polską w pierwszej połowie XIX stulecia. — Kazimierz Brodziński. — Ballady Tomasza Zana. Juliusz Słowacki Towiańczykiem. — Korespondencya Zygmunta Krasińskiego. — Józef Bohdan Zaleski.	
Cena obydwóch seryj broszurowanych	4'80
oprawnych	5'80
Choloniewski X. Stan. Kazania niedzielne i świąteczne, 2 tomy, wydał X. Jan Badeni	4.—

Dante Alighieri. Boska Komedia, w przekła-	Złr.
dzie Antoniego Stanisławskiego	3'60
egz. oprawny w czerwone płótno	4'10
egz. w wykwintnej oprawie	4'50
Estreicher. Sześćdziesiąt lat pracy J. I. Kra-	
szewskiego	1'—
Gawalewicz M. Biedni ludzie. Powieść, . . .	1'20
w oprawie	1'70
— Majster do wszystkiego. Powieść, . . .	1'20
w oprawie	1'70
— »O Niej«. Szkice i obrazki, 2 tomy . . .	3'60
— Poezye, z ilustracyami Piotra Stachiewi-	
cza, oprawne wykwintnie	3'—
— Sylwetki i szkice literackie	2'—
Golian Z. X. Kazania niedzielne i świąteczne,	
wydanie pośmiertne	2'—
Hagen M. Nowele: Nora. — Maruńka . . .	1'80
Hajota. »Błędne koło«, Powieść	2'40
— Nowele: Ślubna obrączka. — Wymarzone spotkanie. —	
Nemezys serca. — Czemu ciebie tu nie ma? — Osta-	
tni kosz. — Przeciągnięta struna. — Kwiat paproci	
pana Leonarda. — Znaszli ten kraj?	2'60
Kasparek Fr. Dr prof. Podręcznik prawa po-	
litycznego	4'—
Konarski Sz. O religii pocziwych ludzi. brosz.	—'50
Krzymuski Ed. Dr prof. Wykład prawa karne-	
go 2 tomy	6'—
Mieroszowski hr. St. O heraldyce polskiej . .	2'—
Naganowski Ed. Hessy O'Grady, powieść ory-	
ginalna na tle stosunków w Irlandyi, . . .	1'80
w oprawie	2'30
Pułaski Kaz. Szkice i poszukiwania historyczne	2'60
Rapacki W. Do światła! Powieść z XV w. . .	1'80
Retinger Józef Dr. Podręcznik austriackiego	
prawa wesłowego	1'50
Rodziewicz M. Ona, powieść	1'30
— Szary proch, powieść	1'30
Sęk A. J. Nowele	1'80
Solecka W. Henryk Szczerba, powieść . . .	1'—
Zathey H. Młodość Bohdana Zaleskiego . .	—'80



Najartystyczniejsze i najbogatsze
czasopismo polskie

ŚWIAT

Dwutygodnik ilustrowany

wychodzi **w Krakowie** regularnie co
1 i co 15 każdego miesiąca z dwoma do-
datkami w formacie książkowym, z lic-
nymi premiami artystycznymi, pod redakcją
ZYGMUNTA SARNECKIEGO, przy współpra-
cownictwie pierwszorzędných sił literackich
i znających artystycznych.

Prenumerata na „Świat“ wynosi:

Rocznie **12 złr.** — Półrocznie **6 złr.**

Kwartalnie **3 złr.**

Prenumerować najlepiej wprost

w Redakcyi „Świata“, ul. Floryańska 40.

jak również
we wszystkich księgarniach.



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000238262



I 406029

